

Powiat



SŁUPSKI

Nr 11-12 (201-202), Listopad-Grudzień 2017

Rok XVII * ISSN 1730-7686

facebook.com/morskipowiatyslupski

Bilans i prognoza

Polskie obchody w Paryżu

70 lat drzewniaka

Zablokowana informatyka

Rodzinne święta

Zabić śmierć

Geniusz Wyspiańskiego

Trzecie widzenie

Wieś Tworząca





**POKAZ OZDÓB
BOŻONARODZENIOWYCH**
SŁUPSK, GRUDZIEŃ 2017





**ZDZISŁAW
KOŁODZIEJSKI**
Starosta Słupski

Powiat



SŁUPSKI

Drodzy Czytelnicy!

Znany jest już budżet na 2018 rok. Radni przyjęli go niemal jednogłośnie, 19 głosami za, nikt nie głosował przeciw, jeden radny wstrzymał się od głosu. Znane są przyszlusoroczne dochody i wydatki samorządu powiatowego. To, co pewnie najbardziej interesuje naszych mieszkańców, to z pewnością wydatki na inwestycje. Zaplanowaliśmy je na poziomie prawie 15 mln zł. Kwota ta prawdopodobnie jeszcze wzrośnie po podpisaniu umów na środki zewnętrzne, które zdoby-

liśmy z Programu Rozwoju Gminnej i Powiatowej Infrastruktury Drogowej. Większość przeznaczona zostanie na przebudowy dróg powiatowych. Mnie cieszy, że inwestycje drogowe będziemy realizować prawie we wszystkich gminach powiatu. Będzie to możliwe dzięki ich współfinansowaniu przez samorządy, za co serdecznie dziękuję.

Na początku roku uruchomimy dwa terenowe punkty rejestracji pojazdów. Porozumieliśmy się z gminą Kępice oraz miejską gminą Ustka i mieszkańcy będą

możli rejestrować pojazdy na miejscu - mieszkańcy gminy Kępice w Urzędzie Miejskim w Kępicach, a mieszkańcy Ustki i gminy Ustka w Urzędzie Miasta w Ustce. To roz-

wiązanie ma ułatwić mieszkańcom dostęp do tej usługi oraz skrócić kolejki dla tych, którzy będą rejestrować pojazdy w naszym starostwie.



Z okazji zbliżających się Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku życzę wszystkim, aby nadchodzące dni upłynęły w pełnej miłości i nadziei rodzinnej atmosferze, a zbliżający się Rok 2018 przyniósł spokój, stabilizację i wiele okazji do realizacji zamierzeń zawodowych i osobistych. Życzę wszelkiej pomyślności, zdrowia oraz realizacji wszystkich planów prywatnych i zawodowych.



Szczęśliwego Nowego Roku 2018!

W numerze:

- 2 Uchwały oświatowe i drogowe
- 2 Budżet na 2018 rok
- 2 Będą współpracować
- 3 Przeszczepy w drugiej połowie przyszłego roku
- 3 Rada Pożytku II kadencji
- 4 Dzień Pracownika Socjalnego
- 4 Obchody Święta Niepodległości
- 4 Rejestracja bliziej
- 5 Powiatowa konferencja
- 5 Konkurs fotograficzny
- 5 Kulig po szynach
- 5 Piknik żeglarsko-morski
- 6 Można lżyć, byle nie imiennie
- 8 Bilans i prognoza

- 10 Nie, bo... nie!
- 11 Polskie obchody w Paryżu



100-lecie powstania obchodziło Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Polskich we Francji. Główne uroczystości odbyły się w Paryżu.

- 13 70 lat drzewniaka. Od stolarza do artysty malarza...

- 15 Drzewniaka wspominają absolwenci

- 16 Zielarskie inspiracje



Choć przesady i magiczne opisywanie świata odchodzą już w niepamięć, kultura ludowa nadal

może być twórczą inspiracją w różnych dziedzinach życia.

- 18 Zablokowana informatyka



W PRL dbano, aby ludzie nie skomunikowali się. Dlatego pod względem liczby telefonów na głowę mieszkańca w Europie byliśmy przed Albanią.

- 23 Z dała od orkiestry



Film „Z dała od orkiestry” uczy miłości do ojczyzny, skromności wobec dokonań tak zacnych ludzi, jak Zygmunt Lubicz-Zaleski.

- 24 Rodzinne święta

- 25 Zmarł Czesław Guit, nasz przyjaciel

- 26 Zabić śmierć



Po chwili dostrzegłem staruszkę w długim płaszczu i z torbą pełną puszek po piwie. Grzebała w koszu.

- 29 Geniusz Wyspiańskiego



Ciągle zdumiewa nas fenomen sztuki i talentu Wyspiańskiego, oryginalność i niezależność umysłu oraz pozostawiona bogata i różnorodna twórczość.

- 32 Najpierw zarobić na życie

- 34 Nie wpuszczajcie zła



Nowy Teatr im. Witkacego w Słupsku przygotował w międzynarodowej współpracy sztukę, która niesie głębokie przesłanie i powinna poruszyć widzów w dwóch krajach.

- 36 Bogustaw V Wielki – miłośnik prawdy i wróg obłudy



Bogustaw V, pierwszy książę słupski gdy obejmował nowo powstałe państwo miał około pięćdziesięciu lat.

- 38 Trzecie widzenie

- 40 Jak kupować z głową?



Zawsze uważałem, że należy się kierować dobrem ogółu i dobrem Polski. Dziś jest to już hasło wystużone, bo wszyscy kochają ojczyznę, lecz różnie jej służą.

Uchwały oświatowe i drogowe

Radni powiatowi na listopadowej (29.) sesji Rady Powiatu Słupskiego przyjęli informację o stanie realizacji zadań oświatowych w roku szkolnym 2016/2017, podjęli pięć uchwał oświatowych i uchwaliли m.in. Program współpracy powiatu z organizacjami pozarządowymi na 2018 rok.

Złożenie radzie sprawozdania o realizacji zadań oświatowych w minionym roku szkolnym jest ustawowym obowiązkiem. W sprawozdaniu przedstawia się podstawowe dane dotyczące funkcjonowania szkół i placówek oświatowych, zagadnienia związane z procesem nauczania oraz warunkami kształcenia, osiągnięcia uczniów, szczegółową analizę wyników egzaminów zewnętrznych, zasobów kadrowych i kwalifikacji kadry pedagogicz-

nej. Sprawozdanie zawiera też kierunki polityki oświatowej na kolejny rok szkolny. Po jego przyjęciu rada podjęła pięć uchwał oświatowych o przekształceniu szkół powiatowych zgodnie ze zmianami w prawie oświatowym.

Kolejną uchwałą rada powierzyła miastu Słupsk wyko-

nywanie badań USG stawów biodrowych u niemowląt, przeznaczając na ten cel 15 tys. złotych. Rada określiła też rozkład godzin pracy aptek ogólnodostępnych na terenie powiatu w 2018 roku i uchwaliła Programu współpracy powiatu słupskiego z organizacjami pozarządowymi w 2018 roku. Na tę współpracę powiat zamierza przeznaczyć ponad 3 mln

złotych, w tym prawie 2,7 mln na zadania z zakresu pomocy społecznej.

Rada Powiatu podjęła jeszcze dwanaście uchwał w sprawie zawarcia umów z gminami lub zmiany zawartych już umów z gminami lub innymi podmiotami na realizację zadań drogowych. Rozpatrzyła skargę na działalność Zarządu Dróg Powiatowych w Słupsku. (z)



Fot. J. Maziejuk

Budżet na 2018 rok

Dochody powiatu wyniosą prawie 89,7 mln zł a wydatki ponad 92,2 mln zł – zdecydowali radni na grudniowej (15.) sesji Rady Powiatu, uchwalając budżet na 2018 rok.

Planowany deficyt to 2,6 mln zł. Wydatki bieżące wyniosą ponad 70 mln zł. Zadużenie powiatu – 21 mln zł. Na inwestycje i zakupy inwestycyjne planuje się wydać ponad 14,8 mln zł. Większość tej kwoty przeznaczona zostanie na przebudowy dróg powiatowych. - Inwestycje drogowe będą realizowane w większości gmin powiatu – mówił starosta Zdzisław Kołodziejwski. - Będzie to możliwe dzięki ich współfinansowaniu przez samorządy gminne oraz pozyskaniu przez powiat funduszy z Programu Rozwoju Gminnej i Powiatowej Infrastruktury Drogowej.

Za takim budżetem zgłosowało 19 radnych, 1 wstrzymał się od głosu. Nikt nie był prze-

ciwny. - W pierwszym kwartale może okazać się, że zrealizowane zostaną również inne jeszcze inwestycje drogowe, nie ujęte w podjętej uchwale budżetowej na 2018 rok – dodał starosta.

Oprócz budżetu radni kolejnymi uchwałami określili zadania z rehabilitacji osób niepełnosprawnych, które finansowane będą z zaliczki przekazanej z Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych, podnieśli wysokości wynagrodzeń dla rodzin zastępczych zawodowych i prowadzących rodzinne domy dziecka. Określili regulamin udzielania pomocy materialnej w ramach Lokalnego Programu Wspierania Uzdolnień i zmienili ten program. Zmienili również uchwałę w sprawie określenia szczegółowych zasad ponoszenia odpłatności za pobyt w mieszkaniu chronionym. Przyjęli plan pracy Rady Powiatu oraz plany pracy komisji na 2018 rok. (P.L.)



Fot. Urząd Marszałkowski w Gdańsku

Będą współpracować

W Centrum Edukacji Nauczycieli w Gdańsku starostowie i prezydenci miast podpisali list intencyjny z marszałkiem województwa pomorskiego o woli podjęcia współpracy w zakresie podniesienia jakości edukacji i efektywności kształcenia w powiatowych szkołach.

W imieniu powiatu słupskiego list podpisał Rafał Konon – wicestarosta słupski. Włodarze samorządów i Mieczysław Struk – marszałek

województwa pomorskiego zobowiązali się, że będą współpracować w zakresie edukacji przedszkolnej, kształcenia ogólnego i zawodowego oraz doskonalenia zawodowego nauczycieli. Współpraca polegać będzie m.in. na: wymianie doświadczeń i dobrych praktyk, dzieleniu się wiedzą i wspólnym pozyskiwaniu funduszy na edukację.

Podpisaniu listu towarzyszyła debata o kondycji pomorskiego szkolnictwa zawodowego. (E.L.)

Przeszczepy w drugiej połowie przyszłego roku



Fot. J. Maziejuk

Rozwojowi oddziału hematologicznego i możliwościom przeprowadzania przeszczepów szpiku w Wojewódzkim Szpitalu Specjalistycznym w Słupsku poświęcony był listopadowy Konwent Wójtów i Burmistrzów.

Konwent zebrał się 23 listopada, uczestniczył w nim Paweł Orłowski - członek Zarządu Województwa

Pomorskiego. Wicemarszałek dziękował obecnemu na spotkaniu prezydentowi Słupska Robertowi Biedroniowi i radnym Rad Miejskiej za deklarację przekazania 500 tys. złotych na utworzenie w Słupsku ośrodka przeszczepu szpiku. Podziękował również samorządowcom powiatu i gmin, które zdecydowały się wesprzeć tę cenną inicjatywę. Potwierdził, że samorząd województwa

pomorskiego weźmie udział w montażu finansowym, który umożliwi rozpoczęcie działalności przeszczepowej.

Zdaniem Andrzeja Sapińskiego - prezesa Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego w Słupsku oraz Wojciecha Homendy - ordynatora Oddziału Hematologii, ośrodek przeszczepów szpiku może zacząć funkcjonować w drugiej połowie przyszłego roku.

Podczas spotkania omówiono również możliwości współpracy w zakresie pozyskiwania środków na działania wspierające seniorów, rozwój żłobków i przedszkoli oraz profilaktykę zdrowotną. Starosta Zdzisław Kołodziejski przedstawił projekt „Zabawa w miasto - dzieci budują swój świat”. Jest on przygotowywany we współpracy z powiatem Herzogtum Lauenburg z Niemiec. W zabawie ma wziąć udział 120 dzieci w wieku od 11 do 13 lat. Dzieci przez osiem dni mieszkać będą w miasteczku namiotowym, sami nim zarządzać i organizować w nim życie. W ten sposób będą poznawać zasady funkcjonowania demokratycznego samorządu i uczyć się języka obcego.

W ostatnim punkcie konwentu samorządowcy dyskutowali o zmianach ustawowych dotyczących zwiększenia udziału obywateli w procesie wybierania, funkcjonowania i kontrolowania niektórych organów publicznych. (P.L.)

Radni Słupska zdecydowali ostatecznie na sesji 29 listopada o przekazaniu na utworzenie ośrodka przeszczepu szpiku 800 tys. złotych. (z)

Rada Pożytku II kadencji

21 listopada br. odbyło się pierwsze posiedzenie Powiatowej Rady Działalności Pożytku Publicznego II kadencji. Współprzewodniczącymi rady zostali - Renata Wismont i Paweł Lisowski.

Działalność rady ma charakter opiniotwórczy i konsultacyjny. Jej członkowie działają społecznie. W ciągu trzyletniej kadencji do jej zadań będzie należało m.in.: opiniowanie powiatowego programu współpracy z organizacjami pozarządowymi, opiniowanie niektórych projektów uchwał, dokumentów strategicznych, uczestniczenie w rozstrzygnięciu sporów między organami samorządu i organizacjami

pozarządowymi, a także rekomendowanie przedstawicieli organizacji do prac w komisjach konkursowych.

W skład rady wchodzi 11 członków. Uczestniczący w jej posiedzeniu starosta słupski Zdzisław Kołodziejski wyraził nadzieję, że podobnie jak było to w pierwszej kadencji, pro-

gram współpracy z organizacjami pozarządowymi będzie dobrze realizowany. Pogratulował członkom rady wyboru i życzył dobrej współpracy. (P.L.)



Fot. J. Maziejuk

Dzień Pracownika Socjalnego

Z okazji obchodzonego 21 listopada Dnia Pracownika Socjalnego, starosta

słupski Zdzisław Kosiński spotkał się dyrektorem oraz pracownikami

domów pomocy społecznej, Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie w Słupsku oraz Centrum Administracyjnego Domów dla Dzieci.

Dzień ten ustanowiony został na mocy ustawy o pomocy społecznej z 29 listopada 1990 roku dla upamiętnienia spotkania w miejscowości Charzykowy w 1989 roku pracowników pomocy społecznej z Jackiem Kuroniem - ówczesnym ministrem pracy i polityki społecznej.

Jest to święto wszystkich pracowników służb społecznych, w szczególności pracowników socjalnych.

Dlatego z tej okazji starosta wyróżniającym się pracownikom powiatowych jednostek wręczył nagrody i listy gratulacyjne. (P.L.)



Fot. J. Maziejuk

Obchody Święta Niepodległości

11 listopada uroczystie obchodzono w Słupsku i powiecie słupskim 99. rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości.

Starosta słupski Zdzisław Kosiński, Grzegorz Grabowski z Zarządu Powiatu i

Paweł Kądziela - dyrektor Powiatowego Urzędu Pracy wzięli udział w uroczystościach na placu Zwycięstwa w Słupsku. Złożyli tam kwiaty pod pomnikiem Żołnierza Polskiego. Wcześniej w kościele pw. Najświętszej Marii Panny Różańcowej od-

prawiona została msza święta. Po głównych uroczystościach odbył się V Słupski Bieg Niepodległości, w którym wzięło udział ponad 500 biegaczy.

Bieg Niepodległości (dwa dni wcześniej) odbył się też na terenie Centralnego Poligonu Sił Powietrznych w Ustce. Uczestniczyły w nim zespoły uczniów z 7 szkół ponadgimnazjalnych, 11 gimnazjalnych i 6 ponadgimnazjalnych mundurów z Pomorza. Uczestnicy poza szybkim bieganiem musieli wykazać się wiedzą z historii Polski (z lat 1768-1921) oraz umiejętnościami strzeleckimi i rzutu granatem.

W oficjalnych usteckich obchodach 11 listopada władze powiatu reprezentowali - wicestarosta Rafał Konon i Jan Olech - przewodniczą-

cy Rady Powiatu Słupskiego. Pod Pomnikiem Państwa Podziemnego złożyli wiązanki kwiatów.

Natomiast W Domu Ludowym w Żochowie (gm. Potęgowo) w uroczystościach wzięło udział ks. dziekan Piotr Czaja - proboszcz Parafii Łupawa. Władysława Kokosińska i Maria Gontarz z Żochowa oraz Jan Maziejuk ze Słupska otrzymali pamiątkowe podziękowania za kultywowanie dawnych tradycji i społeczną pracę na rzecz miejscowego środowiska. Pan Jan od prawie 30 lat utrwała na fotografiach wyjątkowe miejsca i ciekawe wydarzenia w żochowskim sołectwie. W koncercie poetycko-muzycznym zaprezentowano pieśni patriotyczne i wiersze poetów okresu Młodej Polski. (p., mk.)



Fot. J. Maziejuk

Rejestracja bliżej

Mieszkańcy gminy Kępice, a także miasta i gminy Ustka będą mogli rejestrować pojazdy w terenowych punktach rejestracji. 29 listopada w starostwie słupskim podpisano stosowne porozumienie w tej sprawie.

Zgodnie z zawartym porozumieniem w Urzędzie Miejskim w Kępicach i Urzędzie Miasta Ustki utworzone zostaną punkty rejestracji pojazdów. Ich uruchomienie oznaczać

będzie, że mieszkańcy z tych trzech gmin nie będą musieli przyjeżdżać już do starostwa, by zarejestrować swoje pojazdy. Sprawy te załatwią na miejscu, i to do nich dojadą urzędnicy.

W ten sposób starostwo chce skrócić kolejki w Wydziale Komunikacji, w którym załatwianych jest wiele jeszcze innych spraw i wyjść na przeciw oczekiwaniom mieszkańców gmin, by mogli załatwiać sprawy w swoich najbliższych urzędach.

Punkty rejestracji pojazdów w Kępicach i Ustce rozpoczną pracę z nowym rokiem. (P.L.)



Fot. J. Maziejuk

Powiatowa konferencja

Wydział Zarządzania Kryzysowego i Obronności słupskiego starostwa zorganizował konferencję szkoleniową dla pracowników urzędów gmin zajmujących się zarządzaniem kryzysowym i obroną cywilną.

Konferencja odbyła się 9 i 10 listopada w Ośrodku Wypoczynkowym „Słowiniec” w Poddąbiu. Oprócz pracowników urzędów gmin odpowiedzialnych za sprawy kryzysowe i obronne wzięli w niej udział: Beata Bernas - kierownik Oddziału Terenowego Zarządu Melioracji i Urządzeń Wodnych w Słupsku (omówiła organizację ochrony przeciwpowodziowej), Waldemar Parus - naczelnik

Biura Spraw Obronnych Żegluga Urzędu Morskiego w Słupsku (przedstawił zadania Urzędu Morskiego w systemie obronnym państwa - w czasie pokoju i wojny), st. chor. sztab. Marek Ozimek z I Łęborskiego Batalionu Zmechanizowanego (omówił procedury postępowania w przypadku ujawnienia ładunków pochodzenia wojskowego) i Mariusz Ożarek - dyrektor Zarządu Dróg Powiatowych (zapoznał z przygotowaniem dróg do okresu zimowego).

Pracownicy Wydziału Zarządzania Kryzysowego i Obronności omówili bieżące tematy związane z zapewnieniem bezpieczeństwa na terenie powiatu słupskiego. (W.K.)



Fort. M. Giszka

Konkurs fotograficzny

Mateusz Giszka z Gimnazjum w Jezierzycach został głównym laureatem konkursu fotograficznego „Dbam o zdrowie – Nie palę papierosów” – edycja 2017” organizowanego dla gimnazjalistów i uczniów szkół ponadpodstawowych. Jego praca „Nie pal aby żyć” otrzymała pierwszą nagrodę.

Komisja konkursowa na posiedzeniu 22 listopada przyznała jeszcze kolejne miejsca i wyróżnienia: Nikoli Chudziak z Gimnazjum w Biesowicach za pracę „Wyjdz z popiołu

i żyj zdrowo”, Klaudii Kamińskiej z Gimnazjum w Redzikowie za pracę „Nieodwracalne skutki”, Marcelinie Mól z Gimnazjum w Kobylnicy za pracę „Gra o życie” (wyróżnienie) i Laurze Sutowskiej z Liceum Ogólnokształcącego w Ustce za pracę „Szczęśliwa, bo wolna od nałogów” (wyróżnienie). Tę ostatnią pracę komisja wybrała do druku kalendarza powiatowego.

Na konkurs wpłynęły 24 prace od 13 autorów. Jednej komisja nie zakwalifikowała do oceny, bo nie spełniła warunków konkursu. (D.R.)



Fort. M. Smoliński

Kulig po szynach

Ponad 100 dzieci z powiatu wzięło udział w III Powiatowym Kuligu Drezynowym w Bronowie. Nie było śniegu, ale najmłodszy i tak świetnie się bawili.

Kulig odbył się 2 grudnia na trasie z Bronowa do Gumieńca po linii kolejowej nr 212 na dystansie około 5 kilometrów w tę i z powrotem. Jednocześnie podróżowało 16 dzieci z opiekunami. Jeden przejazd trwał około 20 minut. Następnie dzieci szły do świetlicy wiejskiej w Bronowie, gdzie czekał na nie gorący rosół oraz kielbaski z grilla, dodatkowo podpiekane na ognisku.

Oczekiwany punktem programu było spotkanie ze św. Mikołajem, który miał dla wszystkich paczki ze słodyczami. Dzieci zwracając się do Mikołaja ze swoich prezentowych marzeń najczęściej mówiły, że chciałyby dostać pod choinkę... młodsze rodzeństwo. Mikołaj obiecał, że przekaze te życzenia rodzicom.

Drezynowy kulig zorganizowało Centrum Edukacji Regionalnej w Słupsku przy dużej pomocy p. Doroty Wiśniewskiej - sołtys Bronowa, jej współpracowników oraz Słupskiej Powiatowej Kolei Drezynowej. Wzięły w nim udział dzieci z: Bronowa, Kępic, Wrześcia, Kończewa, Ustki i Głowczyc. (M.S.)

Piknik żeglarsko-morski

Ponad stu uczniów, czterdziestu nauczycieli i dwudziestu wolontariuszy wzięło udział w Pikniku Żeglarsko-Morskim „Szacunek mojemu prawu” w Ośrodku Szkolno-Wychowawczym im. Marynarza Polskiego w Damnicy.

Piknik zorganizowano 15 listopada i uczestniczyli w nim, oprócz wychowanków damnickiego ośrodka także wychowankowie specjalnego ośrodka w Słupsku, przedszkolaki z Przedszkola nr 1 w Ustce, uczniowie Szkoły Podstawowej w Zagórzycy oraz

uczniowie z Sieci Szkół Edukacji Morskiej - Szkoły Podstawowej w Kobylnicy, Szkół Podstawowych nr 4 i 9 oraz Zespołu Szkół Mechanicznych i Logistycznych w Słupsku. Pomysłodawcą był tegoroczny patron ośrodka w Damnicy - kmr ppor. dr Dariusz Kloskowski.

Piknikowi przyświecały Korczakowskie Prawa Dziecka - do radości, nauki przez zabawę, do bycia sobą. Poszerzył on wiedzę uczniów z zakresu edukacji morskiej i żeglarskiej oraz umożliwiał udział w zajęciach praktycznych. (O)

Można łżyć, byle nie imiennie

Ani zamieszki, walki na ulicach i barykady, ani „ukraiński Majdan” nie są nam potrzebne, ale zgoda narodowa, wzajemny szacunek i mądra nauka na błędach przeszłości.

Przyzwolenie to coś, na co uzyskujemy zgodę w jakiejś określonej, czasami nawet wyjątkowej sytuacji, z czyjegoes poręczenia lub wyboru. To także zgoda na postępowanie, które nie zawsze jest zgodne z naturą, a czasami i z prawem również.

Na przyzwolenie niekiedy trzeba sobie zasłużyć, lub do niego dorośnąć. Wiedzą o tym zwłaszcza rodzice i rozmaici wychowawcy, kiedy nagradzają swoje pociechy (lub wychowanków) zgodą na samodzielny wyjazd lub udział w jakiejś imprezie, na przykład na wakacje pod namiotami, czy tradycyjny młodzieżowy Woodstock.

O przyzwoleniu możemy mówić także w sytuacji, gdy obowiązujące normy etyczne zostają podporządkowane tak zwanemu duchowi czasu i zezwala się na usuwanie ciąży, a prawo jakiegoś kraju „dojrze do tego”, by zaakceptować eutanazję. To z reguły wyjątki, chociaż wcale już nie tak rzadkie, jak kiedyś bywało. Ostatnio na przykład bierze się pod rozwagę możliwość wprowadzenia norm przyzwalających zarówno lekarzom, jak i ciężko chorym pacjentom na... zaniechanie bezskutecznej terapii podtrzymującej życie.

W sprawach bardziej codziennych i publicznych matka może dorastającej córce przyzwolić, by czasami wracała do domu po godzinie 22.00, a ojciec swojemu synowi, który zdał maturę, w nagrodę przyzwala, by ten usiadł za kółkiem jego samochodu. Oczywiście w tym przypadku musi być spełniony warunek, że syn zdobył wcześniej prawo jazdy.

Przyzwolenie to także coś, co sobie możemy dać sami. Możemy na przykład, idąc z duchem czasu, przyzwolić sobie na stosunki pozamałżeńskie, na mobbing w miejscu pracy, na bycie chamem w towarzystwie, które akceptuje normy bycia ludzi z marginesu. - Że co? Nie zgadzacie się ze mną? To mimo wszystko powinno być karane?

Ano, może kiedyś tak bywało. Za zdradę małżeńską sąd karał rozwozem, za mobbing można było dostać nawet wyrok do odsiadki w zawieszeniu, a za bycie chamem... zostać wykluczonym z danej grupy społecznej, która zachowuje jeszcze trochę kultury i zdrowego rozsądku.

Idąc tym tropem, wchodzę powoli do mętnej wody tak zwanej odpowiedzialności zbiorowej. Odpowiedzialności za nas samych, za nasze dzieci, wnuków, za przyjaciół. Odpowiedzialności przed historią, przed społeczeństwem, a nawet przed Bogiem.

O odpowiedzialności przed sądem w tym miejscu już nie powinienem pisać, bo jak się okazuje, została ona ostatnio zmarginalizowana. Sąd, który w naszym kraju stoi najwyżej, to raczej ponad innymi sądami, uznał, że... „można łżyć, byle nie imiennie”. Można łżyć w sejmie, w najwyższym ustawodawczym organie państwa, łżyć swoich przeciwników politycznych, obrzucając ich najbardziej podłymi kalumniami. Można opisywać ich twarze, że to niby zamiast nich, mają zakazane mordy, no i w ogóle przypisywać im wszystko, co najgorsze Polak Polakowi przypisać może: zdradę, upodlenie, służalczość wobec tych, co kiedyś w historii świata wymuszali wiernopoddanie innych narodów, et cetera, et cetera.

No cóż, sąd ma prawo nagiąć prawdę, bo dostał przyzwolenie od swojej partii, która już przejęła część kompetencji do sprawowania nad nim władzy, niszcząc jego niezawisłość. I która w najbliższym czasie te kompetencje usiłuje rozszerzyć, co budzi duży sprzeciw społeczny. Spory sprzeciw, ale tylko wśród tych, którzy pozostają w opozycji. Żeby była jasność - w opozycji do partii rządzącej.

Nie wiem, jak Czytelnicy, ale ja na przykład nie przypominam sobie, żebym biorąc udział w wyborach do władz najwyższych, dawał przyzwole-

nie tym, którzy także w moim imieniu mieli sprawować władzę w kraju, żeby we wszystkim decydowali za mnie, żeby mnie wyręczali w decydowaniu o sposobach wychowywania moich dzieci i wnuków, żeby mi narzucali swoją kulturę bycia i swój styl postępowania z tymi, którzy mają odmienne poglądy od moich. By narzucali mi swoje poglądy polityczne na historię, na widzenie świata, na religię, o kulturze już nie mówiąc.

I tu wkraczamy na kolejną ścieżkę przyzwolenia, które z nadanego sobie namaszczenia sprawowania władzy najwyższej w imieniu rzekomej większości społeczeństwa, „uzurpator” stara się rozszerzyć na całe społeczeństwo. Jeśli mu się to uda, strach pomyśleć, jakie wyroki zapadną wtedy. Czy podległe mu partyjnie sądy nie pójdą jeszcze dalej i już nie tylko będzie można łżyć bezimiennie, ale także imiennie poniżać, szantażować, a nawet... stosować - jak w średniowieczu - tortury, rugi społeczne, topić w zburzonych wodach Wisły i Odry. Nas Polaków stać przecież na wszystko, byle tylko uzyskać, to znaczy byle tylko dano nam na to przyzwolenie.

Przykro mi o tym pisać, ale proces jest rozwojowy na tyle, że już w widocznym sposobie działa. Kultura polityczna w naszym sejmie przestała obowiązywać. Zresztą w senacie także. A brak kultury politycznej na szczytach władzy przekłada się nie tylko na nowy obraz panującej klasy politycznej, ale także na podległe im media. I wcale nie muszę tego dowodzić, bo na co dzień wszyscy przykładów doświadczaamy aż nadto.

Idźmy zatem dalej. Brak kultury elit politycznych, a może nawet należałoby powiedzieć więcej - upowszechnianie przez nie takich właśnie wzorców niekulturalnych zachowań, przekłada się na zachowania przedstawicieli niższych sfer rządzących, a także na ich wyborców. Powstaje błędne koło, które ma to do siebie, że jak wszystkie inne koła po prostu się zamyka. Zaczynamy żyć w świecie braku kultury, w świecie o rozchwianych prawach dla wybrańców narodu i obustronnych prawach dla suwerena.

Zaczynamy odczuwać przyzwolenie nadane wszystkim tym, którzy z nami się nie zgadzają, mają odmienne poglądy, nie popierają chamstwa i obłudy. Otwieramy drogę do przemocy i to w dwóch wymiarach: duchowym (mentalnym) i fizycznym. Wymiar duchowy przekłada się na izolowanie przeciwników w formie wymiany

kadr na wszystkich szczeblach władzy. - „Nie jesteś z nami, nie możesz mieć nic do powiedzenia”.

Wymiar fizyczny to budowanie zaplecza w postaci własnych sił porządkowych, organizacji o charakterze politycznym, militarnym i... bojówek.

Z ogromnym zaskoczeniem przyjąłem jedną z ostatnich wypowiedzi ministra Obrony Narodowej Macierewicza, kierowanej do podległych mu żołnierzy Wojskowej Obrony Terytorialnej, że niby mają do spełnienia dwie misje: obrony przed wrogiem zewnętrznym i... wewnętrznym, który już jest. O matko! A kto to nim jest? Jeśli opozycja, to co? Mają wrócić czasy rewolucji październikowej z początku XX wieku, czy załatwiania porachunków na ulicach z czasów „Solidarności”?

Byłbym może i skłonny na wyciszenie, na wytłumaczenie sobie, że coś się ministrowi nieopatrznie wymysknęło, pomylił wroga zewnętrznego z wewnętrznym. Byłbym, gdyby nie dalszy rozwój wydarzeń. Gdyby z okazji święta niepodległości 11 listopada na ulice stolicy nie wyszło tysiące narodowców, wśród których znaleźli się - z partyjnego przyzwolenia rządzących - skrajni nacjonaści, a nawet ludzie jawnie faszystujący i wyrażający opinie noszące znamiona ksenofobii i rasizmu.

Godząc się na współistnienie w ramach funkcjonujących w Europie instytucji politycznych i układów ekonomiczno-społecznych, Polska weszła w skład grupy państw, które nadają ton funkcjonowaniu, reformowaniu i rozwojowi całego kontynentu. Podporządkowała się prawom unijnym, zaakceptowała unijne zasady współistnienia w ramach Unii Europejskiej.

Niezrozumiałym jest zatem, że jednocześnie w naszym kraju neguje się te zasady, przyzwalając na niszczenie dotychczasowego wieloletniego dorobku w zakresie międzynarodowej współpracy, na opowiadanie się za jakimś niezrozumiałym dla większości Polaków rewizjonizmem, który może skutkować sankcjami ekonomicznymi, obcięciem funduszy unijnych, czy też całkowitą izolacją Polski na arenie międzynarodowej.

Jestem politologiem, ale też jako autor książek o żołnierzach wyklętych, z troską i dużym niepokojem obserwuję to, co ostatnio dzieje się w aspekcie politycznego przyzwolenia przez rządzących na rozszerzanie się działalności organizacji o charakterze narodowym, czy pseudopatriotycznym, nacjonalistyczno-faszystowskim i rasistowskim. Rok temu zachwycam się wręcz na łamach

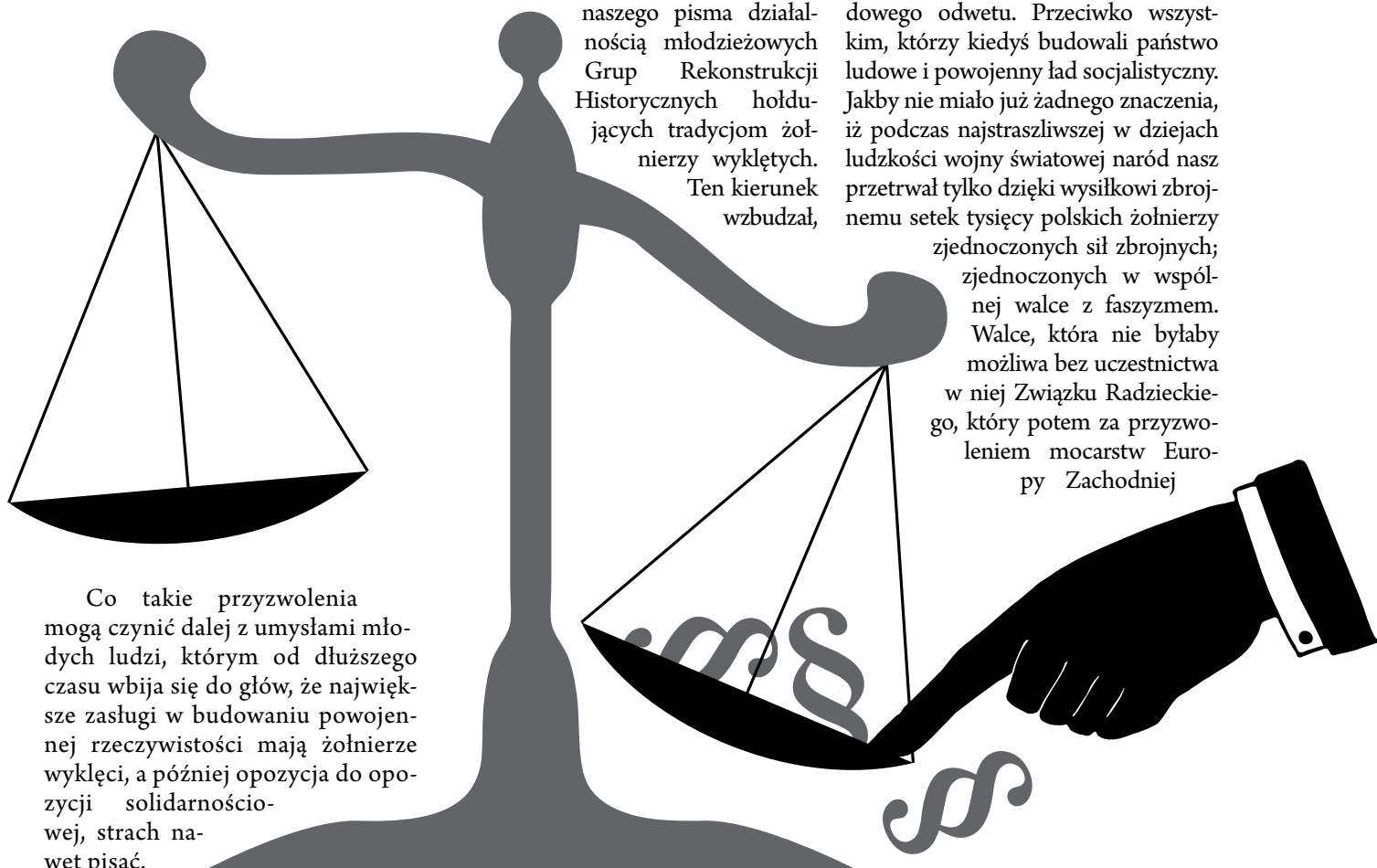
naszego pisma działalnością młodzieżowych Grup Rekonstrukcji Historycznych hołdujących tradycjom żołnierzy wyklętych. Ten kierunek wzbudzał,

i nadal zresztą wzbudza u młodzieży poczucie dumy z przynależności do narodu polskiego, przywraca pamięć o bohaterach, którzy walczyli o naszą wolność, umacnia poczucie wartości i sens trwania przy narodowych tradycjach etc.

Od patriotyzmu do nacjonalizmu jednak niedaleko. I tylko uważne śledzenie dróg rozwoju zjawiska oraz mądre historyczne pokierowanie nim, ma szansę budować zdrowe postawy patriotyczne. Troską nie tylko dla nauczycieli i rodziców powinno być zachowanie młodzieży, która utożsamiając się z potrzebami narodu, nie zabłądzi w jego zakamarkach trudnej historii i nie ulegnie pokusie uwolnienia swych młodzieńczych wigorów w ulicznych walkach.

A tymczasem wzorce, z jakich młodzież korzysta, nie zawsze nadają się do naśladowania. Niektórzy przedstawiciele partii rządzącej wraz z kilkoma działaczami IPN - po wielu latach opluwania i przypisywania zdrady narodowej Lechowi Wałęsie „zniszczyli narodowy symbol przemian ustrojowych”, symbol światowej legendy (nagroda Nobla) Solidarności. Świadomie, lub mniej świadomie (pod wpływem emocji) burzy się wiele innych dotychczasowych autorytetów, budując mosty, którymi podąża duch odwetu. Narodowego odwetu. Przeciwno wszystkim, którzy kiedyś budowali państwo ludowe i powojenny ład socjalistyczny. Jakby nie miało już żadnego znaczenia, iż podczas najstraszliwszej w dziejach ludzkości wojny światowej naród nasz przetrwał tylko dzięki wysiłkowi zbrojnemu setek tysięcy polskich żołnierzy zjednoczonych sił zbrojnych; zjednoczonych w wspólnej walce z faszyzmem. Walce, która nie byłaby możliwa bez uczestnictwa w niej Związku Radzieckiego, który potem za przyzwoleniem mocarstw Europy Zachodniej

Co takie przyzwolenia mogą czynić dalej z umysłami młodych ludzi, którym od dłuższego czasu wbija się do głów, że największe zasługi w budowaniu powojennej rzeczywistości mają żołnierze wyklęci, a później opozycja do opozycji - solidarnościowej, strach nawet pisać.



wchłonał nas w granice podległości pod swoje imperium zła (czytaj też: totalitaryzmu).

Brak znajomości szczegółów historycznych, czy też świadome zapomnianie o tym, że jeszcze przez dziesiątki lat po wojnie byliśmy w wyniku politycznych układów spowodowanych wojną zagrożeni przez Zachód, co przecież przekładało się na całą politykę bloku wschodniego, zakłamuje historię. Młodzi ludzie, którzy tak krótko jeszcze wśród nas żyją, nie mają wycucia pomiędzy upływem czasu od przedwojnia i powojnia, do dzisiaj. Nie zawsze rozumieją, że tych, którzy kiedyś zamordowali Inkę, Łupaszkę, Pileckiego... już wśród nas nie ma. Że hasłami „Bij wroga!” dzisiaj nie należy się posługiwać, bo ten wróg już nie istnieje, a tego typu rozumowanie prowadzi mylnie do przypadkowo wskazanych celów i przełożyć się może na przypadkowe ofiary.

Milczenie Kościoła w sprawach rozłamu pomiędzy katolikami uwikłanymi w politykę i tymi, którzy się od niej dystansują, przede wszystkim bardzo źle rokuje dla samego Kościoła. Przyspiesza proces odchodzenia ludzi od wiary, która wikłana jest w politykę, oddala wizję budowania ojczyzny w duchu nauk Jana Pawła II, ośmiesza hierarchię kościelną, która sama ze sobą zaczyna mieć problemy natury poznawczej, w aspektach rozumienia potrzeb kraju i potrzeb Kościoła.

Młodzież potrzebuje wzorców, ale mądrych wzorców, i mądrego przewodzenia jej zapalem twórczym, jej patriotyzmem i zaangażowaniem.

Nie zapominajmy też przy tym, że jak mówi przysłowie: „Kij ma dwa końce”, może zatem zdarzyć się, że łatwo przeobrazi się w bumerang. Tak, czy siak, nikt tego nie chciałby doświadczać. Ani zamieszki, walki na ulicach i barykady, ani „ukraiński Majdan” nie są nam potrzebne, ale zgoda narodowa, wzajemny szacunek i mądra nauka na błędach przeszłości.

I jeszcze jedno porzekadło: „Zgoda buduje, nienawiść rujnuje” - pamiętajmy o tym. Przyzwalając na przemoc, budujemy sobie najgorsze, bo betonowe, zamiast domów - bunkry i schrony.

Jan Stanisław Smalewski
Bąkowo

Bilans i prognoza

Zawsze uważałem, że należy się kierować dobrem ogółu i dobrem Polski. Dziś jest to już hasło wystużone, bo wszyscy kochają ojczyznę, lecz różnie jej służą.



Polacy bilansują już kończący się rok i zastanawiają się, co przyniesie nowy. Rekonstrukcja rządu to niewątpliwie najważniejsze wydarzenie w polityce w 2017 roku. Po dwóch latach działalności odchodzi premier Beata Szydło, mimo że w sondażach ma wysokie notowania. Nowym premierem zostaje Mateusz Morawiecki, dotychczasowy wicepremier, w przeszłości stał na czele Banku Zachodniego WBK, który od 2011 roku wchodzi w skład grupy Santander.

Co da ta zmiana? Nigdy do partii nie należałem, w wyborach do Rady Miasta w Słupsku zwyciężyłem z listy AWS. Zawsze uważałem, że należy się kierować dobrem ogółu i dobrem Polski. Dziś jest to już hasło wysłużone, bo wszyscy kochają ojczyznę, lecz różnie jej służą. Czasem partykularny interes osobisty jest przedkładany nad interes państwa. Korzyści jednostki mogą zwyciężyć nad racjami społecznymi.

Dla obserwatora patrzącego z boku najciekawsza jest gra polityczna czołowych partii. Powoduje wiele zamętu w głowach przyszłych wyborców. Walka o „dusze” stała się teraz naczelnym hasłem. Prowadzona jest zamaskowana batalia o zawładnięcie przestrzenią publiczną. Czołowe partie umiętne demaskują nieudolności przeciwnika i wytykają szkody dla państwa.

Patrząc z perspektywy historycznej do rządzenia Polakami zawsze potrzebny był jeden silny ośrodek władzy. W praktyce oznacza to dyktaturę jednostki, bo do pełnej demokracji trzeba dorastać i budować ją wielopokoleniową tradycją.

Czy nasza słowiańska niefrasobliwość i sarmacka wolność jest wynikiem braku dyscypliny w przestrzeganiu zasad, w tym w ważnych sprawach państwowych. Gołym okiem widać, że do polityki uprawianej na najwyższym szczeblu trafiają ludzie przypadkowi, którzy często nic sobą nie reprezentują, oprócz ciągłego wyrażania klakierstwa i lojalności dla swego przywódcy.

Na indywidualizm, obiektywizm nie ma miejsca. Wielki ruch solidarnościowy przeżywa kryzys, bo nie ma swoich struktur w firmach wyrosłych po przemianach społecznych. Dziś Polska lansowana jest jako kraj dynamicznych przemian gospodarczych. Władze wykazują efekty: dodatni wynik finansowy, uszczelnienie systemu podatkowego, ograniczenie czarnej

strefy, wzrost płac, spadek bezrobocia, ratowanie państwowych firm itp. Natomiast roczna waloryzacja emerytur to zaledwie pięć złotych!

Dziedziny życia związane z infrastrukturą społeczną wyraźnie nie nadążają za dynamicznym rozwojem gospodarczym. Szczególnie ochrona zdrowia pokazuje, że nie została dostatecznie dofinansowana i zreformowana mimo wielokrotnych zapowiedzi. Instytucje sądowe - czwarta władza stworzyła dla siebie własne państwo z własnym prawem, była często bezkarna, bez kontroli i zmiany są konieczne. Ale nie może być przyzwolenia na personalizację polityczną sądów i uzależnienie od układu partyjnego.

Zmiany w reformie oświaty są też przykładem bałamutnych działań polityków, którzy na żywym organizmie dokonują ciągle do nie końca przemyślanych zmian. Za mojego życia dokonano ich już wiele, kierując się różnymi przesłankami. Ale nie przypominam sobie, by porządnie kiedyś zabrano się za jakość nauczania, za podwyższenie standardów, za przygotowanie młodych ludzi nie tylko do życia zawodowego, ale również obywatelskiego, do odpowiedzialności za sprawy lokalne i całej ojczyzny.

Całkiem niedawno zniszczono wypracowany przez wiele lat model edukacji zawodowej. Wynik jest przerażający. Nie ma kadr dla rozwijającego się przemysłu. Nie ma również wyższej kadry inżynierskiej - twórców innowacyjnych projektów dla gospodarki. Studia o kierunkach ścisłych i technicznych są dziś specjalnie dotowane, a ich studenci otrzymują najwyższe stypendia.

Polacy przyjmują wszystkie zmiany ze spokojem. Podjęte decyzje o 500+ przyczyniają się do wyrównywania szans społecznych, utrwalają status rodziny. Przyznawane środki nie są źle wykorzystywane. Ale co będzie w latach gorszej koniunktury gospodarczej? Gdzie znajdą się pieniądze na społeczne programy? Już dziś zaczyna ich brakować na wprowadzane zmiany w oświacie, na ochronę zdrowia i wiele innych sfer życia społecznego, o inwestycjach infrastrukturalnych w małych gminach i ośrodkach miejskich nie mówiąc. Do tego dochodzą kłopoty demograficzne. Stajemy się, jak cała Europa, społeczeństwem się starzejącym. Mimo spadku bezrobocia, rozluźnia się dyscyplina społeczna i nie wszyst-

kim opłaca się pracować. Potrzebne będą nowe programy. Zresztą już są wdrażane...

Negatywnie postrzegany jest resort ochrony środowiska i to nie tylko za konieczną wycinkę drzew w Puszczy Białowieskiej. Także za fatalne dla szaty roślinnej Polski wcześniejsze decyzje. Pozwolono bezmyślnie zniszczyć wieloletnie zadrzewienia w lokalnych zasobach. Zniszczono wiele form krajobrazowych, wiele gatunków unikalnych.

Co nas czeka? Na pewno wejdą w życie podpisane już przez Prezydenta ustawy i te, które zostaną jeszcze uchwalone. Nowa ordynacja podatkowa, tzw. konstytucja gospodarcza już wzbudza emocje w środowisku biznesowym. Nie widać w niej ułatwień dla przedsiębiorców, zwłaszcza tych nowych, początkujących.

Proponowana ordynacja wyborcza wzmaga niepokoje u samorządowców o kadencyjność w piastowaniu funkcji, o wybór przedstawicieli lokalnych władz. Wiele jest uwag do zmiany okręgów wyborczych, procedury wyznaczania członków do komisji wyborczych czy organów odwoławczych. Znawczy tematu, nie związani z opcją rządzącą oceniają, że są to zmiany pod potrzeby partii rządzącej. Sądy po zmianach mogą stracić niezawisłość. Nic wtedy z przyśpieszenia procedur w sądownictwie, szybszego ferowania wyroków itp.

Do pozytywów trzeba na pewno zaliczyć decyzję o nieprzyjmowaniu cudzoziemców i przywróceniu wieku emerytalnego. Ale mogą czekać Polskę sankcje finansowe Unii Europejskiej za nieprzyjęcie cudzoziemców i zmniejszenie środków na nowe inwestycje.

Przerażające jest, że w kraju umiera rocznie 45 tys. osób od zanieczyszczeń atmosfery.

Celem ponadpartyjnym w 2018 roku może okazać się próba budowania wspólnoty narodowej i więzi integracyjnej do realizowania zadań dla Polski. Apelowal o to w swoim wystąpieniu 5 grudnia prezydent Andrzej Duda, otwierając w Sejmie obchody przypadającego w przyszłym roku 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości. Ale ten zamiar może okazać się niewykonalny przy dużym podziale społeczeństwa i ciągłym skłócaniu politycznym Polaków.

Włodzimierz Lipczyński
Słupsk

HAHAHA!



Nie, bo... nie!

Śmiesznym jest ten, kto współcześnie marzy, iż Polska może mieć do spełnienia misję naprawy Europy i doskonalenia jej państw narodowych.

Kiedy w kinie oglądam jakiś zachodni seans filmowy, moją uwagę zawsze zwracają dialogi prowadzone przez bohaterów. Różnią się one, i to często bardzo się różnią, od naszych przyzwyczajeń kulturowych, sposobem prowadzenia rozmowy. Wnikliwością analiz, dociekliwością, a przede wszystkim szczegółowością wyjaśnień dotyczących poruszanych tematów. Zwłaszcza w aspektach rozumienia sposobu postępowania drugiej strony.

Jeśli młodzi ludzie rozmawiają na przykład o swoich uczuciach, każde z nich ujawnia swoje myśli, uzewnętrznia odczucia powodowane określonymi sytuacjami, czy zachowaniami partnera. Przyznając lub nie przyznając drugiemu racji, dokonuje analizy jej powodów.

Czasami myślę wtedy sobie, że Anglicy, Francuzi, czy nawet Amerykanie, są od nas nie tylko bardziej wrażliwsi, ale wręcz bardziej elokwentniejsi, bardziej rozwinięci intelektualnie, kulturalniejsi w zachowaniach i uważniejsi w wyrażaniu swoich poglądów i myśli.

Teoretycznie byłbym w stanie sobie to wyjaśnić naukowo. Że to na przykład wynika z narodowych tem-

peramentów. Bo weźmy takich Włochów. Z powodu ich wyjątkowego „rozgadania” nie przepadam nawet za filmami włoskimi. - Nadmiar słów i emocji, a na dodatek ten melodyjny zaśpiew i krzykliwość, powodują u mnie często gęsią skórę. - Mamma mija! - chciałoby się zawołać.

A spójrzmy na różnice pomiędzy osobnikami płci odmienniej. Mężczyzna zawsze będzie mniej romantyczny, bardziej powściągliwszy od kobiety. A kobieta sentymentalniejsza, subtelniejsza i bardziej podatna na krzywdy, zło i okrucieństwo. - Genetyka. Czyli... tak nas stworzono.

W czym więc problem? Ano, moim skromnym zdaniem, właśnie w wychowaniu, w kulturze i nawykach, jakie zwłaszcza ze sobą niesie tak zwany duch czasu.

Kiedy dorastająca latorośl zwraca się do swojego rodowego rodzica z pytaniem, czy może pod jego nieobecność urządzić w domu prywatkę, najczęściej usłyszy jednoznaczną od niego odpowiedź: - Nie! A na kolejne pytanie, dlaczego nie, dopowiedzenie: - Nie, bo nie! I koniec, i basta.

O tym, co w takim momencie poczuje dziecko, rodzic nawet nie

pomyśli. Nie pomyśli, że taka odpowiedź u jego syna, czy córki, może wywołać swoisty opór psychiczny, bunt, a nawet potrzebę przekornego zachowania.

Anglik, Francuz, czy Amerykanin tak nie postąpi. Tamtejszy rodzic przygarnie do siebie latorośl, popatrzy w oczy z miłością i wygłosi krótki, ale przekonujący wywód wyluszczaający powody odmowy lub warunki przyzwolenia.

To tylko jeden z przykładów. Mógłbym wiele takich z obszaru postępowania z dziećmi nie tylko przez rodziców, ale również i wychowawców szkolnych przytoczyć jeszcze. Wszystkie będą podobne, w których... nasze „Nie, bo nie!” zawsze będzie dominować. Nie o wychowaniu młodzieży jednak chcę pisać, ale o naszych narodowych przywarach egoizmu, zarozumiałości i przekory. O narodowym przeświadczeniu, że jako Polacy, jako naród w ogóle, jesteśmy kimś lepszym, bardziej znaczącym, spełniającym jakieś posłannictwo, czy misję dziejową.

Spójrzmy na naszych polityków. I porównajmy ich zachowania z politykami innych krajów. Obserwowałem niedawno polityków naszych sąsiadów, w ich programach telewizyjnych. - Ludzie! Tego nie da się porównać. Tam polityk to osoba kulturalna, prawie (każdy) jak profesor. Polityk wyraża swoje opinie bez zbędnych emocji, polityk szanuje partnera i rozumie, że on też ma swoje poglądy i może swobodnie je wyrażać. Nie narzuca więc swoich racji, ale je przedkłada. Polemizuje z drugim politykiem, wysłuchując jego opinii. Dokumentuje swoje racje, przedstawiając argumenty, którymi się należałoby posłużyć.

A u nas? - Nie, bo nie!

Nie, bo nie! Bo ja jestem z przyzwolenia suwerena, z partii rządzącej. A skoro mnie wybrał naród, mogę wszystko. Decyduje ten, kto ma władzę, choćby nie miał racji. Racja leży po stronie tych, którzy uzyskali większość w parlamencie i tylko to się liczy, reszta nieważna...

To zachowanie polityków przypomina mi despotę - ojca, który zamiast wytłumaczyć dziecku powód swojej odmowy na prywatkę pod jego nieobecność w domu, krzyczy do dzieciaka: - Nie! Bo nie! - pytając przy tym: - Zrozumiałeś?

A co tu rozumieć?

To jednak takie proste. Tak, jak brakiem kultury i despotycznym postępowaniem ojciec niczego dobrego nie wskóra, niczego dobrego nie wskóra także polityk postępujący podobnie do despotycznego rodzica. I chociażby zarówno rodzicowi, jak i politykowi wydawało się, że „Nie, bo nie!” wystarczy, by postawić na swoim, doświadczenie mówi, że na ogół skończy się to porażką, i jednego i drugiego.

Europa to kontynent wielu państw i narodów. Każde z państw ma swoją kulturę, historię i... współczesną osobowość prawną. Swoją armię, swoją godność i szczególne plany dotyczące rozwoju. Śmiesznym jest ten, kto współcześnie marzy, nie mówiąc już w ogóle o tym, że głośno przy tym mówi, bo tak myśli, iż Polska może mieć do spełnienia misję naprawy Europy i doskonalenia jej państw narodowych.

A co Polakom do nas Niemców, Francuzów, Holendrów... - pomyśli sobie niejeden dotknięty tym obcokrajowiec. Najpierw niech naprawią sytuację u siebie. Misję to miał papież Jan Paweł II, mógłby ją mieć Kościół, gdyby sam nie uwikłał się w politykę i afery moralne. Tylko instytucje nadzórne mogą mieć do spełnienia misję lub jakieś misje, czyli... jak już kto (co), to najwyżej Europejski Parlament.

I oby nie mylił się Mikołaj Rej, oby jego słynne powiedzenie o gęsiach nie nabrało nowego wymiaru, iż: Polacy jak gęsi. Choć swój rozum (język) mają.

A dlaczego? Bo czynią wrzask na swym podwórku, szczypią wszystkich po łydkach i głośno gęgają.

Najwyższy zatem czas by nasi politycy zaczęli analizować swoje postępowanie w oparciu o zdrowy rozsądek i zasady prawne. By racjonalnie myśleli posługując się bogatymi doświadczeniami poprzedników i naukowymi zasadami rozwoju społecznego. Samo „Nie, bo nie!” nawet w historycznej przeszłości, gdy znane nam Polakom było, jako Liberum veto, niczego dobrego dla Polski i Polaków nie przyniesie. I warto o tym pamiętać.

Jan Stanisław Smalewski
Bąkowo

Polskie obchody w Paryżu

100-lecie powstania obchodziło Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Polskich we Francji. Główne uroczystości odbyły się w Paryżu.



Fot. K. Popiel

Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Polskich we Francji powstało w 1917 roku z inicjatywy inż. Jerzego Lipkowskiego. Po otrzymaniu wiadomości o powstaniu Błękitnej Armii dowodzonej przez gen. Józefa Hallera zaproponował przebywającym wówczas we Francji inżynierom i architektom polskiego pochodzenia założenie organizacji technicznej. Organizacja ta działa nieprzerwanie pod przewodnictwem wybitnych polskich inżynierów mieszkających we Francji.

Podczas pierwszego (13.10.) dnia uroczystości w Ambasadzie RP w Paryżu, mieszczącej się w pięknym Hôtelu de Monaco, gości witali Tomasz Młynarski - ambasador RP w Republice Francuskiej oraz Lucjan Sobkowiak - prezes SITPF. Ambasador w swoim przemówieniu podkreślił wkład polskich inżynierów we współpracę polsko-francuską w zakresie nauki oraz jej znaczenie w kształtowaniu przyjaznych stosunków polsko-francuskich.

Prezes Lucjan Sobkowiak mówił o wkładzie polskich inżynierów i techników w rozwój przemysłu francuskiego oraz historii stowarzyszenia. Ewa Mańkiewicz-Cudny - prezes Federacji Stowarzyszeń Naukowo-Technicznych NOT w Polsce zaprezentowała historię polskich stowarzyszeń technicznych działających poza granicami kraju.

Podczas uroczystości wręczono dyplomy i złote odznaczenia zasłużonym członkom organizacji oraz przedstawicielom zaprzyjaźnionych organizacji z Europy i Ameryki. Odznaczeniem takim uhonorowano m.in. prof. Janusza Romańskiego - prezesa Polonia Technica USA, który w tym roku gościł w Słupsku. Jubileuszu 100-lecia gratulowały, poza polską i amerykańską delegację stowarzyszeń inżynierskich Niemiec, Austrii i Wielkiej Brytanii.

Ja miałam przyjemność wręczyć w imieniu Zarządu NOT w Słupsku polskim kolegom działającym we Francji okolicznościowy grawer-



Fot. K. Popiel

ton oraz zaprosić ich do Słupska na obchody 50-lecia naszej organizacji, które odbędą się w przyszłym roku.

Drugiego dnia (14.10.) w obecności wicekonsul do spraw polonijnych Beaty Jaśko w Bibliotece Polskiej w Paryżu odbyło się seminarium poświęcone rewolucji przemysłowej na świecie, otwarto też wystawę poświęconą działalności stowarzyszenia. Na seminarium omawiano wpływ postępu technologicznego na rozwój przemysłu, plusy i minusy czwartej rewolucji przemysłowej,

a także zajmowano się tzw. sztuczną inteligencją i zmianami klimatycznymi. W gronie wykładowców znaleźli się reprezentanci świata naukowego z wielu krajów. Z Wielkiej Brytanii przyjechali m.in. dr inż. Andrzej Fórmaniak (omawiał zastosowanie BIM w kolejnictwie) i dr inż. Marian Zastawny (zaprezentował udział technologii CAD/CAE w tworzeniu tzw. cyfrowych bliźniaków). Paweł Tomaszewski z Polski, autor wielu książek o Janie Czochralskim, światowej sławy naukowcu z Pałuk, wynalazcy powszechnie stosowanej do dzisiaj metody otrzymywania monokryształów krzemu, przedstawił jego zasługi dla najnowszych technologii na świecie. Z kolei prof. Jan Lis zaprezentował nowe materiały i technologie XXI wieku, a prof. Agnieszka Ziarnicka - Wojtaszek - także z Polski, mówiła o ekologii i meteorologii. Janusz Romański z USA prezentował wybrane technologie z czwartej rewolucji przemysłowej. Z kolei inż. Jan Suski omówił nanotechnologie, a inż. Michał Szczepański, Cyber-Phizykał System - obaj z Francji. Uczestnictwo w obchodach było też okazją do wymiany doświadczeń organizacji inżynierskich na świecie.

Uroczysta kolacja odbyła się w Salonie Bóffrand Pałacu Luksemburskiego, siedzibie Senatu Republiki Francuskiej. Uczestniczył w niej senator Jean-Yvesa Leconte - wiceprzewodniczący senackiej Grupy Przyjaźni Francja-Polska. Ambasadę RP

reprezentował minister Tomasz Majchrowski - zastępca ambasadora.

Uroczystości jubileuszowe zakończyły się niedzielą (15.10.) mszą świętą w intencji polonijnych inżynierów i techników. Odprawił ją w polskim kościele pw. Wniebowstąpienia Najświętszej Marii Panny w Paryżu ks. Bogusław Brzyś, rektor Polskiej Misji Katolickiej we Francji.

Obchody połączono z Walnym Zebraniem Europejskiej Federacji Polonijnych Stowarzyszeń Naukowo-Technicznych. Podczas obrad koledzy z Francji przekazali przewodnictwo w Federacji organizacji niemieckiej - Zrzeszeniu Federalnemu Polskich Inżynierów i Techników w Niemczech. Lucjan Sobkowiak funkcję prezesa przekazał Andrzejowi Kajzerowi.

Uczestnicząc w paryskich uroczystościach miałam okazję bliżej poznać wielu wybitnych inżynierów, między innymi Jana Suskiego - członka francuskiej organizacji. Pochodzi on ze Słupska i podobnie jak prof. Janusz Romański z USA, jest absolwentem I LO im. Bolesława Krzywoustego. Jan Suski wyraził zadowolenie z zaproszenia go na obchody jubileuszu 50-lecia naszej organizacji w przyszłym roku. Można się więc spodziewać, że uczestnictwo w tych obchodach francuskiej organizacji zaprocentuje szerszą współpracę z polskimi kolegami działającymi we Francji.

**Krystyna Popiel
Słupsk**



Fot. K. Popiel

Drzewniak w roku 2017 to szkoła, która uczy już 70 lat - rzemiosła, zawodu, profesjonalnych technik sztuk pięknych. 24 listopada obchodził swój jubileusz. Historia szkoły jest bogata w wydarzenia, od jej zarania aż do współczesności. Była zawsze zwierciadłem zachodzących przemian w szkolnictwie zawodowym. Popularna nazwa drzewniak przetrwała do dzisiaj, mimo ewolucyjnych zmian, bo korzenie tej szkoły sięgają do klasycznej nauki zawodu stolarza, stolarza meblarza, a potem technika technologii drewna. W latach powojennych brakowało fachowców w tych zawodach. Duże zaplecze leśno-drewnne na Pomorzu wyznaczało kierunek rozwoju gospodarczego dla regionu słupskiego, w którym dominowało tartacznictwo, meblarstwo, tapicerstwo.

Dzisiejszy Zespół Szkół Technicznych jest spadkobiercą wieloletniej i złożonej tradycji szkoły, która powstała już w 1947 roku na mocy dekretu ówczesnego Ministerstwa Przemysłu i Handlu. Była to Państwowa Szkoła Przystosowania Zawodowego nr 34 i kształciła wyłącznie stolarzy. Jej siedzibą był budynek przy ulicy Jaracza 18 a, w którym obecnie funkcjonuje Biblioteka Pedagogiczna. W 1951 roku przekształcono Państwową Szkołę Przystosowania w Zasadniczą Szkołę Przemysłu Drzewnego, specjalizującą się w stolarstwie meblowym, a w 1955 utworzono pierwszą klasę Technikum Przemysłu Drzewnego.

W 1961 roku szkoła otrzymała nową siedzibę w okazałym budynku dawnego Niższego Seminarium Duchownego przy ulicy Karola Szymanowskiego 5. W 1976 przekształciła się w Zespół Szkół Drzewnych, kształciła uczniów w Zasadniczej Szkole Zawodowej oraz w Technikum. Obok techników technologii drewna kształciła również - od roku 1962 - techników budowlanych. W 1997 roku, po radykalnych zmianach w polskiej oświacie, dołączono do zespołu VII Liceum Ogólnokształcące, a potem Liceum Profilowane. Słynny drzewniak otrzymał nazwę: Zespół Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Słupsku. Po dziesięciu latach kształci się w niej pierwszy rocznik techników informatyków. Dwa lata później - w 2009 roku rozpoczynają naukę pierwsi technicy organizacji reklamy, w 2010 roku - fototechnicy, a w 2012 - technicy przemysłu mody i obuwni-

Fot. Archiwum Autora



70 lat drzewniaka. Od stolarza do artysty malarza...

Słupski drzewniak ma swój styl. Przekazuje młodym ludziom nie tylko wiedzę i uczy zawodu, ale kształtuje również charakter i osobowość. Rozbudza zainteresowania.

cy. W 2012 roku po raz kolejny zmienia się nazwa szkoły - na Zespół Szkół Technicznych, która obowiązuje do dziś.

Najważniejszym jednak wydarzeniem ostatnich lat jest utworzenie w 2015 roku Liceum Plastycznego, którego pierwsi absolwenci na rynku pracy pojawią się za dwa lata. Drzewniak to szkoła kreatywna, weszła w sektor nowych zawodów nie zaniebując i pielęgnując zawody branży drzewnej, które dały początek legendzie.

Zajęcia praktyczne w zawodach stolarz i technik technologii drewna odbywały się na początku w warsztatach szkolnych przy placu Dąbrowskiego 1. Od 2010 roku młodzież na zajęcia praktyczne uczęszcza do świetnie wyposażonego nowoczesnego obiektu przy ulicy Koszalińskiej 5

- Centrum Kształcenia Praktycznego, które od 1 września br. stało się Zespołem Placówek Oświatowych.

Drzewniak ma swój styl i charakter. Realizuje zadania pedagogiczne i dydaktyczne, przekazuje wiedzę, ale również kształtuje osobowość młodych ludzi. Wspiera ich rozwój, rozbudza indywidualne zainteresowania oraz umożliwia zdobywanie doświadczeń i umiejętności niezbędnych w dorosłym życiu. Szkoła proponuje ambitne zadania, a ich pomyślna realizacja tworzy jej pozytywny wizerunek. Patrząc z perspektywy minionych 70 lat można stwierdzić, że przygotowuje ona nie tylko do przyszłej pracy, ale też uczy wychowanków tolerancji, kreatywności i wiary we własne siły. Wydawnictwo „Nowa Era” przyznało słupskiemu drzewnia-



kowi Certyfikat „Dobrze zaPROJEK-Towana Szkoła 2017” oraz Certyfikat „PROJEKTant Edukacji 2017”.

Zespół Szkół Technicznych tworzy wyjątkową atmosferę pozwalającą młodym ludziom zdobyć nie tylko wykształcenie w poszukiwanych na rynku zawodach, ale również pomaga w przyszłym zatrudnieniu.

Znamienna jest opinia o drzewniaku wydana przez Wydział Edukacji Urzędu Miejskiego w Słupsku: „Jest to szkoła przygotowana do tego, by spełniać oczekiwania i pomagać w realizacji aspiracji edukacyjnych oraz zawodowych młodym ludziom. Umożliwia rozwijanie uzdolnień poprzez bogatą ofertę zajęć teoretycznych i praktycz-

nych, wyjazdy na praktyki i staże zagraniczne, udział w ciekawych projektach edukacyjnych, a przede wszystkim dobrze przygotowuje młodych ludzi do zawodu i podjęcia pracy. Placówka stale wdraża nowe formy i innowacyjne modele dydaktyczne, realizuje projekty unijne, dzięki którym uczniowie

mają możliwość poznania europejskich rynków pracy, najnowszych technologii oraz podniesienia kompetencji językowych. Dzięki realizowanym projektom, bogatej współpracy z pracodawcami, środowiskiem lokalnym, placówka sukcesywnie doposaża pracownie w sprzęt i materiały, aby zapewnić najwyższy poziom kształcenia”.

Drzewniak w ciągu siedemdziesięciu lat wykształcił ponad 13,7 tys. absolwentów. Po ukończeniu szkoły zwykle 30 proc. podejmuje zatrudnienie, a 60 proc. dalszą naukę. Dziś Zespołem Szkół kieruje zasłużony pedagog Grażyna Zienkiewicz.

Włodzimierz Lipczyński, Słupski

Krzysztof Młynarczyk - prokurator - absolwent '91: - To w tej szkole nauczyłem się, bez obecnego w wielu ówczesnych szkołach stresu, radzenia sobie w najtrudniejszych sytuacjach życia. Tu zdobyłem wiedzę na temat tego jak mam oszczędnie gospodarować swoim czasem i co jest tak naprawdę w życiu ważne. Dowiedziałem się jak odróżniać dobro od zła i wytworzyłem w sobie poczucie sprawiedliwości. To w szkole na Szymanowskiego dowiedziałem się czym jest przyjaźń, lojalność, poświęcenie. Cechy te mogłem wykorzystać później w pracy w prokuraturze i w swoim dorosłym życiu. I co najważniejsze: w drzewniaku poznałem miłość swojego życia, Agnieszkę z V klasy Technikum Budowlanego, która jest moją żoną już 22 lata. To największy dar mojej szkoły.

Dr hab., prof. nadzw. Dariusz Ficek - prodziekan Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego Akademii Pomorskiej w Słupsku - absolwent '82: - Byłem uczniem drzewniaka na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, chodziłem do klasy technikum technologii drewna. Czas nauki w tej szkole jest dla mnie okresem wielu wspomnień. Chodziłem do licznej męskiej klasy. Od początku każdy z nas wydawał się osobą z innej bajki. Jednak upływ czasu sprawiał, że różnice stopniowo się zacieraly. W pamięci mam również wielu swoich nauczycieli. Byli wśród nich tacy, którym nie tylko zależało na wtłoczeniu nam wiedzy do głów. Myślę, że zależało im także na nas i na naszych dalszych losach. Okres nauki w drzewniaku był bardzo ciekawym etapem w moim życiu, obfitującym w najróżniejsze sytuacje. Mam wiele dobrych wspomnień oraz duży sentyment do tamtego czasu. Sądzę, że wielu moich kolegów ma bardzo podobne zdanie na temat lat spędzonych w tej szkole. Codziennie po lekcjach biegałem na stadion 650-lecia do Gwardyjskiego Klubu Sportowego na treningi. Szkoła bardzo wspierała sportowe zainteresowania uczniów. Na apelach dyrektor Józef Woźnica zawsze wyróżniał takie osoby. Mobilizował nas też wicedyrektor Janusz Rucki, nauczyciel wychowania fizyczne-



Fot. Archiwum Autora

Drzewniaka wspominają absolwenci

Dumą każdej szkoły są jej absolwenci, którzy zrealizowali swoje ambitne plany zawodowe i zajmują dziś ważne stanowiska. Oto jak wspominają szkołę ci, którzy wpisali się do jej kroniki.



Fot. Archiwum Autora

go. Będąc jeszcze uczniem drzewniaka zdobyłem dwa medale na Mistrzostwach Polski. Dodam, że byłem w jednej klasie z Janem Hurukiem - maratończykiem i olimpijczykiem. Bardzo ciepło wspominam czas spędzony w tej szkole.

Stanisław Witek - trzykrotny złoty medalista Mistrzostw Polski w rzucie oszczepem - absolwent '80: - Do drzewniaka uczęszczałem ponad trzydzieści pięć lat temu, byłem uczniem Technikum Budowlanego. To niezwykła szkoła, dała mi solidne podstawy pozwalające na dalszą naukę i osiąganie sukcesów, nawet w tak trudnej dyscyplinie naukowej jaką jest fizyka. Bardzo istotnym elementem mojego życia, związanym też z tą szkołą, jest krąg moich wspaniałych kolegów i znajomych oraz cudowne wspomnienia organizowanych corocznie wypraw na góry.

Dr inż. Przemysław Krystosik - pracownik naukowy Wydział Inżynierii Lądowej, Środowiska i Geodezji Politechniki Koszalińskiej - absolwent '03: - Po ukończeniu studiów na kierunku technologii drewna w Poznaniu, rozpocząłem pracę nauczyciela w mojej szkole. W miarę upływu lat, podnosząc swoje kwalifikacje zawodowe, w wyniku konkursu, w 1992 roku zostałem jej dyrektorem. Lata dziewięćdziesiąte to czas zmian w oświacie, w szkole powstało wtedy VII Liceum Ogólnokształcące, Liceum Profilowane, a także uruchomiony został nowy kierunek kształcenia - technik informatyk. Została zaini-

cjowana wymiana międzynarodowa uczniów. Warsztaty szkolne zostały przekształcone w pracownię drzewne i weszły w skład Centrum Kształcenia Praktycznego. Rozpoczęła się nowa forma egzaminu maturalnego i nowe egzaminy potwierdzające kwalifikacje zawodowe. Nauczyciele zaczęli zdobywać kolejne stopnie awansu zawodowego. Szkoła po wielu latach starań doczekała się wreszcie budowy nowej sali gimnastycznej i modernizacji pomieszczeń dydaktycznych. Słowa uznania należą się wszystkim dyrektorom, gronu pedagogicznemu, pracownikom za wytrwałość, serce i oddanie, z jakim wykonywali i wykonują jeszcze swoją pracę, by drzewniak nie stracił dawnej marki i był nadal uważany za dobrą szkołę. Dziękuję absolwentom roczników z mojego okresu za to, że nie zmarnowali czasu i dzisiejsza uroczystość może przypominać wszystkim wspaniałe chwile.

Andrzej Bonat - absolwent, nauczyciel, były dyrektor drzewniaka: - Przeżywam dziś wspaniałe chwile. Dostarczają mi ich wspomnienia absolwentów z różnych roczników 70-letniej historii szkoły. Wpisy w kronikach tych starych i tych nowych, które przeglądam są pełne wzruszeń, emocji, radości i przyjaźni. Klimat drzewniaka zawsze tworzyli jego dyrektorzy, nauczyciele oraz pracownicy obsługi i administracji. Doceniając znakomite efekty i dorobek szkoły muszę podkreślić wysiłek kilku pokoleń uczących tu pedagogów, którzy pozostawili trwały ślad swojej działalności. Największym i najcenniejszym są absolwenci! Ze szczególnym wzruszeniem jednak myślę o pedagogach, pracownikach szkoły, których już nie ma wśród nas...

Spisał:
Włodzimierz Lipczyński, Słupsk



Fot. Archiwum Autora



dzielili się także ludzie wędrowni: Cyganie, olejkarze, żołnierze.

Ziołolecznictwo było jednym z najbardziej rozwiniętych działów medycyny ludowej. Wierzano, że rośliny posiadają moc i mogą wspierać organizm człowieka w walce z chorobą tak samo, jak mogą spowodować jego złe samopoczucie. Friedrich Lorentz, niemiecki historyk, autor „Zarysu etnografii kaszubskiej”, zawarł w swojej pracy kilka informacji na temat wierzeń ludowych dotyczących właściwości ziół funkcjonujących na Kaszubach. I tak, piołun miał chronić przed chorobami zakaźnymi, na przykład cholerą, febrę leczono herbatą z ruty, a liście podbiału stosowano w przypadku pojawienia się kołtuna. Uważano, że zioła, które poświęcone były w odpowiednim czasie, na przykład w dniu Wniebowzięcia Matki Bożej, zyskują dodatkową moc. Sporządzano z nich napar, który podawano jako lek na różne choroby wewnętrzne, jak i używano zewnętrznie do okładów, kąpiei i do okadzania. Rośliny lecznicze towarzyszyły ludziom ponadto w różnych obrzędach dorocznych, a także w chwili narodzin, w czasie zaślubin oraz podczas umierania.

Prozdrowotne lub szkodliwe właściwości roślin są już najczęściej potwierdzane naukowo i mało kto już raczej wierzy w to, że kiedy do domu przyniesione zostaną zawiłce, to przestaną nieść się kury. Mimo odarcia tematu z otoczki ludowych przekonań nasączonych myśleniem magicznym, ziołolecznictwo wciąż pozostaje ważną składową medycyny, po którą w razie potrzeby chętnie sięgają ludzie w różnym wieku i pochodzący z różnych środowisk. Właściwie można mówić już o nastaniu mody na ziołolecznictwo. Jak grzyby po deszczu powstają firmy oferujące naturalne kosmetyki, których skuteczność gwarantować ma obecność w składzie ziół. Coraz więcej osób zainteresowanych jest prowadzeniem zdrowego trybu życia, a także wspomaganiem swojego organizmu suplementami diety opartymi na ziołach. Rośliny lecznicze z powodzeniem można sadzić i pielęgnować w przydomowych ogródkach czy w doniczkach na parapecie. Normą stała się obecność świeżej melisy, mięty, bazylii czy rozmarynu w supermarketach. Coraz silniejsza jest potrzeba pogłębienia wiedzy na temat ziołolecznictwa, stąd dużą popularnością cieszą się warsztaty, które uczą na

Fot. Archiwum Autora

Zielarskie inspiracje

Choć przesady i magiczne opisywanie świata odchodzą już w niepamięć, kultura ludowa nadal przecież może być twórczą inspiracją w różnych dziedzinach życia.

Ludzie od wieków poszukiwali skutecznych środków uśmierzających ból, leczących choroby, a wiedzę dotyczącą tego zagadnienia przekazywali ustnie, z pokolenia na pokolenie. W każdej społeczności funkcjonowały osoby, które specjalizowały się w leczeniu ludzi.

W małych społecznościach wiejskich byli to najczęściej najstarsi ich przedstawiciele, cieszący się dużym autorytetem, na przykład owczarze, kowale, a niekiedy osoby stygmatyzowane: znachorzy, „baby”, „mądre”, zielarki. Wszyscy oni stosowali w

swojej leczniczej działalności szereg metod, które zaliczyć można do tzw. medycyny ludowej (komplementarnej). Mogły to być m.in. zamawianie, odczynianie czarów i ziołolecznictwo, a także zabiegi takie jak: okadzanie, upuszczanie krwi czy pocieranie chorych miejsc świętymi przedmiotami. Z czasem wiedzę ludową uzupełniać zaczęto o inspiracje czerpane z kalendarzy i książek oraz umiejętności i doświadczeń zdobywanych przez zakonników w klasztorach lub osoby zajmujące się leczeniem na plebaniach i we dworach. Swoją wiedzę

Fot. Archiwum Autora

przykład zbioru roślin oraz ich racjonalnego zastosowania w kosmetyce, kuchni lub przy tworzeniu rękodzieła. Nie inaczej było podczas wrześniowych warsztatów zielarskich w Smołdzinie, które zgromadziły komplet uczestników, oferując bezpłatny udział, materiały oraz sporą garść ciekawostek i wiedzy z zakresu medycyny ludowej.

Warsztaty były częścią projektu „Zatrzymać czas - badania nad niematerialnym dziedzictwem kulturowym Słowińców. Etap II”. Na jego realizację Stowarzyszenie Na Rzecz Rozwoju Regionu Słowińskiego „Kluka” pozyskało środki finansowe z programu „Kultura ludowa i tradycyjna” ogłoszonego przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Projekt realizowano we współpracy z Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku. Zgodnie z założeniem przeprowadzono wywiady z dawnymi mieszkańcami Kluk, którzy wyemigrowali do Niemiec, a także potomkami rodzimych mieszkańców regionu słowińskiego. Pozyskiwano informacje, które odchodzą już w zapomnienie, m.in. na temat dawnych zwyczajów, obrzędów dorocznych, lokalnych potraw, wierzeń i przesądów. Pytano także o znaczenie, właściwości oraz zastosowanie ziół. Odpowiedzi rozmówców stały się bazą wyjściową do organizacji warsztatów, skierowanych do mieszkańców gmin Smołdzino oraz Główny. Poprowadził je etnolog z



Fot. Archiwum Autora

Muzeum Kultury Ludowej Pomorza - Mikołaj Radomski. W ramach wydarzenia dzieci ze Szkoły Podstawowej w Pobłociu uczyły się rozpoznawania najważniejszych rodzimych roślin leczniczych, zasad zbioru i suszenia ziół, własnoręcznie wykonywały zielniki oraz świece woskowe i mydła z ziołowymi ekstraktami. Dorosli uczestnicy warsztatów z kolei przyswajali wiedzę z zakresu medycyny ludowej na Pomorzu, tradycyjnych praktyk leczniczych na wsi, pomorskich roślin trujących, a także wykonywali mydła naturalne. Zielarskie

spotkania w Smołdzinie wzbogacił swoim wykładem profesor Zbigniew Sobisz, botanik z Akademii Pomorskiej w Słupsku, opowiadając o kłamliwych mitach oraz stereotypach krążących wokół ziół w sieci.

Warsztaty zielarskie były ukłonem w kierunku lokalnej społeczności. Ich organizatorom zależało na tym, by efekty badań terenowych posłużyły mieszkańcom regionu słowińskiego, by nie trafiły wyłącznie do archiwum lub - w formie wydanych publikacji - tylko do wąskiej grupy zainteresowanych tematem. Sukcesem projektu byłoby zaszczepienie choćby wśród kilku najmłodszych uczestników warsztatów zaciekawienia botaniką czy ziołolecznictwem, a u dorosłych - poszerzenie wiedzy o właściwościach ziół, którą mogliby wykorzystać w praktyce, robiąc coś dla własnego użytku i z myślą o zdrowiu. Choć przesady i magiczne opisywanie świata odchodzą już w niepamięć, kultura ludowa nadal przecież może być twórczą inspiracją w różnych dziedzinach życia. Duże zainteresowanie warsztatami zielarskimi pokazało, że istnieje potrzeba organizacji tego typu działań, a sam temat jest atrakcyjny dla odbiorców. Takie wnioski mogą być zachętą oraz wskazówką dla lokalnych działaczy kultury, nauczycieli oraz pracowników świetlic - warto sięgać do bogactwa i różnorodności tradycji ludowej, szukać w niej ciekawych motywów oraz je rozpowszechniać.

Joanna Jagoda, Słupsk



Zablokowana informatyka

W ZSRR było regułą budowanie mieszkań wielorodzinnych z jedną, wspólną kuchnią. Chodziło o to, by lokatorzy kłócili się, byli zajęci i nie oglądali się na władzę. W PRL dbano, aby ludzie nie skomunikowali się. Dlatego pod względem liczby telefonów na głowę mieszkańca w Europie byliśmy przed Albanią.



Obchodzony w ubiegłym roku jubileusz 35-lecia Polskiego Towarzystwa Informatycznego (PTI) był dobrą okazją, by przyjrzeć się roli, jaką odegrało ono w ponurych latach PRL. Zwłaszcza, że informatyka - w przeciwieństwie do ETO (Elektronicznej Techniki Obliczeniowej) - jest socjotechniką, która ma mocny wpływ na rozwój społeczeństw i państw. W XXI wieku doprowadziła do transformacji zachodniej cywilizacji w globalną cywilizację, zaś tę w wirtualną cywilizację jako równoległy poziom. Natomiast w PRL, w latach 1971-1974 niektórzy informatycy mieli plan transformacji zniewolonego społeczeństwa w poinformowane społeczeństwo, świadome swojej wartości. Plan ten został politycznie zablokowany przy sporym udziale Prezesa PTI, które zostało powołane w tym celu. Jak ważną rolę odrywa wolny przepływ informacji, niech świadczy fakt, że PRL upadło w 1989 roku, m.in. dlatego że nakład podziemnej, solidarnościowej prasy przekroczył nakład prasy reżimowej i polskie społeczeństwo było dobrze poinformowane, świadome swych celów, praw oraz manipulacji władzy, przeciw której potrafiło się zorganizować.

Kontekst rozwojowy

Polska dość wcześnie zajęła się rozwojem konstrukcji maszyn matematycznych (komputerów), co wynikało z wysokiego poziomu polskiej szkoły matematycznej i jej liderów (profesorowie Kuratowski i Greniewski), którzy już w latach 50. zadbali o rozpoczęcie prac nad nimi w GAM (Grupa Aparatów Matematycznych przy PAN). Władze następnie wspierały ten projekt w ZAM (Zakład Aparatów Matematycznych przy PAN), zwłaszcza w zakresie zastosowań techniki cyfrowej w wojsku. Opracowano i wdrażano dwa krajowe programy rozwojowe: Elektronicznej Techniki Obliczeniowej (1961), który uruchomił prace rozwojowe w innych centrach, m.in. w ELWRO oraz Informatyki (1971). Program Rozwoju Informatyki przeniósł zainteresowanie ze sprzętu obliczeniowego i obliczeń inżynierskich na jego praktyczne zastosowania w kompleksowym Krajowym Systemie Informatycznym (m.in. SPIS, WEKTOR, PESEL, TEREN, ŚWIATOWID i inne, jak CYFRONET), opartym na INFOSD-TRADZIE, ogólnodostępnej krajowej sieci transmisji danych. Jej koncepcja została przedstawiona władzom do zatwierdzenia w 1972 roku, czyli 11 lat przed ogłoszeniem koncepcji Internetu, który powstał z rozdzielenia militarnej sieci ARPANET na Milinet i Internet w 1983 roku.

Program ten spotkał się z ostrym sprzeciwem władz. Specjalna komisja Biura Politycznego PZPR w 1974 roku wydała zakaz jego realizacji. W miejsce Krajowego Biura Informatyki został powołany Komitet Informatyki pod przewodnictwem premiera Piotra Jaroszewicza, który całkowicie zablokował działanie Komitetu, w tym zastosowanie krajowych systemów informatycznych, w tym INFOSTRADY. Dziś, w XXI wieku podobną strategię stosują Chiny, Korea Północna oraz niektóre kraje arabskie.

Kontekst polityczny

Dwa wspomniane programy rozwojowe (1961 i 1971) wynikały z ogromnego nacisku środowiska informatycznego, które na łamach prasy codziennej i specjalistycznej wyrażało swe oburzenie na chaotyczny i zbyt wolny rozwój techniki cyfrowej oraz jej zastosowania w Polsce, zwłaszcza w kontekście jej spektakularnego rozwoju na Zachodzie. Owe dys-

kusje i wystąpienia były niewygodne dla władzy, podkreślały jej zły wizerunek. Dyskusje i wyzwania informatyków były wykorzystywane przez jej członków do personalnych rozgrywek. Z chwilą dojścia do panowania Edwarda Gierka w 1971 roku sytuacja na krótko uległa poprawie, czego wyrazem było zatwierdzenie wspomnianego Programu Rozwoju Informatyki na lata 1971-1975, rozpoczęcie prac projektowo-wdrożeniowych nad systemami PESEL, WEKTOR, ŚWIATOWID czy SPIS, realizacja CYFRONET-u oraz wspieranie inicjatywy inż. Jacka Karpińskiego produkcji modułowych minikomputerów typu K 202. (...)

Polska zaczęła przechodzić z gospodarki pokojowej w wojenną, czego wyrazem było nominowanie kilkudziesięciu generałów i pułkowników na wiceministrów, dyrektorów i wicedyrektorów strategicznych zjednoczeń, przedsiębiorstw oraz instytucji. Na przykład płk dr Roman Kulesza został wicedyrektorem Zjednoczenia MERA i dyrektorem naczelnym IMM (Instytut Maszyn Matematycznych), a jego zastępcą był płk prof. Andrzej Janicki. Zastępcą dyrektora ds. naukowych IMM został prof. Władysław Turski, który jednocześnie był profesorem na Uniwersytecie Warszawskim. Wymienieni oficjeli zaczęli zwalczać Program Rozwoju Informatyki na lata 1971-1975, pomagając w tym prof. Pawła Bożyka - szefa doradców I Sekretarza Partii i prof. Andrzeja Straszaka - zastępcę kierownika Wydziału Nauki Partii ds. Nauki. Była to V-ta kolumna Sowietów w Polsce, która w efekcie zniszczyła informatykę i doprowadziła do wielkiej Czarnej Dziury w latach 1976-1989. Profesorowie ci i niektórzy szefowie, jak dyrektor naczelny MERY Jerzy Huk, byli wykształceni w ZSRR. Na przykład wiceministrami Ministerstwa Przemysłu Maszyn i Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki zostali generałowie. Potem gen. Kaliski został nawet ministrem Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki. W innych resortach było podobnie. Premierem został także były generał Piotr Jaroszewicz. Trudno sobie wyobrazić, by władze mogły doprowadzić do rozwoju Krajowego Systemu Informatycznego i INFOSTRADY (w tym proangielskiej Odry 1304/5 i proangielskiego K202) i kontynuowania prozachodnie-

go kierunku rozwoju informatyki, gdy kraj szykował się do wojny z Europą Zachodnią. (...)

Ten fakt jest całkowicie pomijany w historiografii tego okresu w Polsce. Historycy są bezradni, ponieważ nie ma żadnych dokumentów w archiwach na ten temat. Nie wiedzą, że sprawy tego typu załatwia się przez telefon. (...) Ci co jeszcze żyją siedzą mądrze cicho i nie wychylają się. Na pewno profesorowie z KC Partii musieli wiedzieć co robią, być może przy ograniczonej wiedzy owych wymienionych pułkowników (niskiego szczebla), którzy pewnie nie byli wtajemniczani w plany strategiczne Paktu Warszawskiego.

Moim zdaniem, prof. Władysław Turski musiał wiedzieć o tych przygotowaniach, ponieważ jego funkcja w Instytucie Maszyn Matematycznych nie polegała na usprawnieniu badań naukowych nad techniką cyfrową, ale na wejściu w szczegóły sprzętu elektronicznego (produkowanego dla wojska w Instytucie Maszyn Matematycznych i Zjednoczeniu MERA) oraz zapoznaniu się z bliskim środowiskiem zaplecza technicznego ETO, aby wkrótce przejąć wiodącą rolę w krajowej koordynacji tą dziedziną. Wszakże był zaufanym władzy. (...) Chociaż do wojny nie doszło, nie przeniesiono do cywila „wypożyczonych” oficerów. Nowe układy i nacisk na produkcję wojenną, a nie konsumpcyjną doprowadziły do strajku w Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1980 roku i powstania NSZZ „Solidarność”.

Przykład działania V Kolumny

W 1973 roku miałem w trybie zastępczym wygłosić referat na temat informatyki podczas II Kongresu Nauki Polskiej. Ponieważ wyznaczeni profesorowie (np. Wł. Turski) nie opracowali swych podreferatów, które potem miały być scalone, nie było co scalać. Minister nauki prof. Jan Kaczmarek poprosił bym ja to zrobić. Odbyła się dyskusja nad moim materiałem z owymi profesorami, którzy nie wywiązali się z zadania. (...) Na moim referacie nie zostawili suchej nitki i zaproponowali Wiktora Głuszkowa z ZSRR, by on wygłosił referat. Zrobił to banalnie. Mój referat był prozachodni, ale w okresie przygotowań do ataku na Zachodnią Europę, kierunek prozachodniego rozwijania informa-

tyki nie mógł być utrzymany. Wybór Głuszkowa zamiast mnie był sygnałem dla ZSRR, że przygotowania PRL (na odcinku ETO/informatyki) są na dobrej drodze.

Innym przykładem jest odrzucenie przez prof. Władysława Turskiego mojej propozycji zainstalowania superkomputera zachodniego na Uniwersytecie Warszawskim. Odmówił i zainstalował sowiecki RIAD 50. Komputer ten „nigdy nie obliczył” jak sławny dzwon Mikołaja, który „nigdy nie zadzwonił.” Ale sygnał z Uniwersytetu Warszawskiego poszedł w Polskę co należy kupować dla polskich uczelni. Ja natomiast doprowadziłem do zainstalowania amerykańskich wówczas superkomputerów CDC Cyber 72 w Instytucie Badań Jądrowych w Świerku i Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie w ramach tzw. sieci CYFRONET. W tajemnicy podpisałem dokument (...) Inaczej firma CDC nie dostałaby licencji eksportowej do kraju za Żelazną Kurtyną. Gdybym spytał się o pozwolenie odpowiednich polskich władz, takiego bym nie dostał. Nawiasem mówiąc, Amerykanie odmówili sprzedaży tego komputera dla francuskich badań atomowych (force de frappe). Nam zniesienie embarga obiecał sam prezydent Richard Nixon, kiedy był z wizytą w lipcu 1972 roku w Warszawie, aby odplacić się Sowieckiemu Blokowi i zlikwidować groźbę wojny w Europie. Wówczas zaproponował politykę „odprężenia” tzw. detente. Po dalszej podróży Nixona (z Henry Kissingerem) do Moskwy, USA udzieliło Sowieckiemu Blokowi 100 mld dolarów pożyczki. Polska informatyka mocno na tym skorzystała. Brałem udział w tych rozmowach, gdy chodziło o ów komputer. Krajowe Biuro Informatyki powoływało się na konieczność mocnego uczczenia 500-ej rocznicy urodzin M. Kopernika w 1973 roku.

Czy Blok Sowiecki zakończył przygotowania do wojny? Wątpię. Liczni pułkownicy i generałowie czyżby siłą bezwładu pozostali na swych stanowiskach w cywilnej gospodarce? W 1976 roku władze ogłosiły tzw. manewr gospodarczy. Ograniczono produkcję towarów konsumpcyjnych, zlikwidowano system WEKTOR, który kontrolował inwestycje szczególnie ważne (który wylansowałem i kierowałem jego projektowaniem oraz uruchomieniem w praktyce). (...) Natomiast grupa kilkudziesięciu wysokiej

rangi oficerów kontynuowała, czyżby niepotrzebną już produkcję wojenną, na którą nakłady inwestycyjne wzrosły trzykrotnie. Zakup licencji w sektorze cywilnym wynikał z potrzeb sektora zbrojeniowego. Na przykład zakupiono wozy bojowe BWP-1, czołgi T-72 wraz z licencją na seryjną produkcję. Uruchomiono produkcję samolotu rolniczego, jedynego w świecie z silnikiem odrzutowym, przewidzianego do stosowania broni chemicznej. Zakupiono nowe zestawy rakiet przeciwlotniczych Krug M i Kub M oraz rakiety przeciwpancerne 9K111 Fagot jeszcze w 1975 roku. Lista jest znacznie dłuższa. (...)

Trzydzieści miliardów dolarów pożyczki Zachodu dla Polski, doprowadziło polską gospodarkę do upadku. Edward Gierek (I sekretarz partii) i Tadeusz Wrzaszczyk (wicepremier) wprawnymi rękami zakupili m.in. za ową pożyczkę 300 licencji na nowe wyroby i procesy i tym samym rozłożyli gospodarkę centralnie planowaną, która upadła pod wpływem własnego ciężaru i tego typu „lekarstwa.” Zginęła śmiercią mamucią. (...)

Oczywiście wymienieni politycy nie wiedzieli, że „zabijają” PRL. Nowa sytuacja wymknęła się spod kontroli, aczkolwiek na krótko podniosła poziom życia i aspiracje Polaków na lepsze (w Delikatesach można było kupić holenderską musztardę w 5 smakach), a może nawet i na dobrobyt („Informatyka klucz do dobrobytu,” książka PIW niżej podpisanego - 1971, była tego wyrazem i nadzieją). Dziękuję im za to.

Jak uciszyć rozpolitykowane społeczeństwo PRL - 1980?

„Solidarność” zagroziła obaleniem istniejącego porządku politycznego w sierpniu 1980 roku. Rozważano interwencję militarną ZSRR w grudniu 1980, którą powstrzymało twarde stanowisko Stanów Zjednoczonych (kierowane działaniem prof. Zbigniewa Brzezińskiego, doradcy prezydenta ds. bezpieczeństwa narodowego). W tej sytuacji władze PRL i Ludowe Wojsko Polskie przystąpiły do planowania stanu wojennego, który wprowadziły 13 grudnia 1981 roku. Układ personalny w informatyce z okresu przygotowań do wojny z Europą Zachodnią (we wczesnych latach 1970-tych) nadal funkcjonował i jego

wynikiem m.in. było kontrolowanie opinii rozproszonych informatyków i skupienie ich pod jednym kloszem. Tak jak po II wojnie światowej w organizacji PAX zorganizowano tzw. czarną reakcję, dając jej świetne warunki do robienia biznesu (firmy produkcyjne małej chemii i inne) w zamian za spokój w wypowiedziach. Setki ludzi z tego środowiska miało się świetnie i w najmniejszym stopniu nie chciało szkodzić władzy, nawet mieli własną prasę i przedstawicieli w Sejmie w Kole „ZNAK”.

Warto zauważyć, że ja w 1973 roku w referacie na Kongres Nauki Polskiej (zabronionym do wygłoszenia, ale rozesłanym) wnioskowałem o utworzenie Polskiego Towarzystwa Informatycznego. Dlaczego nie zostało wtedy utworzone? Ponieważ władzy zależało, aby społeczeństwo kłóciło się, bo zjednoczone mogło być groźne. Na przykład w ZSRR było regułą budowanie mieszkań wielorodzinnych z jedną, wspólną kuchnią. Chodziło o to, by lokatorzy kłócili się, byli zajęci i nie oglądali się na władzę. W PRL dbano, aby ludzie nie skomunikowali się. Dlatego pod względem liczby telefonów na głowę mieszkańca w Europie byliśmy przed Albanią. Dlatego gdy szykowano stan wojenny tym razem chodziło, aby rozdyktowanych informatyków uciszyć i mieć pod wspólnym kloszem, jak w PAX-ie. I zabieg się udał.

W tak gorącym politycznie okresie nie chciano, by w kraju było głośno o informatyce (zamknięciu programu jej rozwoju) i niedocenionych komputerach K202 Jacka Karpińskiego. Dlatego polecono (zapewne przez telefon) prof. Władysławowi Turskiemu zorganizowanie Polskiego Towarzystwa Informatycznego (22 maja 1981), by zamknąć usta „niesforemny” informatykom. Było to o tyle łatwe, że wkrótce rozpoczął się stan wojenny, który trwał półtora roku. Oczywiście tzw. szeregowi informatycy nie zdawali sobie sprawy, jaką rolę naprawdę odgrywa PTI i chętnie do niego wstępowali, mając na uwadze realizację celów zawodowych, zapewne działali w dobrej wierze.

W gorącym roku 1980 prof. Władysław Turski wydał książkę „Nie samą informatyką” (PIW), w której wyśmiał koncepcję sieci teleinformatycznych (nie wymienił INFOSTRADY z nazwy, ale czytelnie do niej nawiązywał), a zastosowanie in-

formatyki w gospodarce sprowadził do zastosowań na pocztach. Jako profesor Uniwersytetu Warszawskiego, znający biegle rosyjski i angielski, jeździł po świecie i musiał dobrze orientować się w zakresie rozwoju techniki informacyjnej. Mimo to zdecydował się napisać książkę, aby tym skierować zainteresowania członków PTI na drugorzędne zakresy informatyki i dać „naukowe” argumenty władzy. Z tej pozycji prof. Władysław Turski zaatakował książkę mojego autorstwa „INFORMATYKA modele rozwoju i zastosowań” (PWE, 1980), w której scharakteryzowałem rozwój informatyki w Polsce w latach 1971-1974, kiedy współkierowałem tym programem. Prof. Wł. Turski namówił trzech innych naukowców (Łukaszewicza, Bliklego, Mazurkiewicza), aby dołączyli do druzgocącej recenzji mojej książki, której „recenzję opublikowali w „Życiu Warszawy” 13 stycznia 1981 roku, tzn. w drugim miesiącu stanu wojennego. To bardzo znamienne, przypadek? Chodziło o zdyskredytowanie programu rozwoju informatyki poprzez zdyskwalifikowanie jego głównego autora. Recenzenci pisali m.in., że „takie monstrualne połączenie ignorancji o przedmiocie sprawy i pogwałcenie kultury języka doprowadziło do zmarnowania 10 ton papieru”. Tak się składa, że żaden z wymienionych naukowców (z wyjątkiem Władysława Turskiego książki przeciwko informatyce i jego esejów) nie napisał żadnej książki ani nawet artykułu na ten temat przed i po ogłoszeniu owej recenzji. A upłynęły już 43 lata (do śmierci Wł. Turskiego i L. Łukaszewicza) i 47 lat, jeśli chodzi o dwóch dalszych autorów paszkwilu w „Życiu Warszawy”.

Red. Stefan Bratkowski napisał broniący mnie artykuł „Męstwo spóźnionych na barykady” („Życie Warszawy”, 21-22.02.1981). Natomiast kolega, członek PTI, złożył wniosek do Sądu Koleżeńskiego, który miał ocenić sprawę tego ataku. Aby to zrobić, musiałbym być członkiem PTI. Przebywałem wtedy na emigracji, ale złożyłem podanie o przyjęcie, które zostało odrzucone z ustną argumentacją, że „nie jest informatykiem”. Cóż za ironia losu, bo powiedziano tak człowiekowi, który termin „informatyka” spopularyzował w polskim społeczeństwie w swej książce - bestsellerze „Informatyka klucz do dobrobytu” (PIW, 1971), a w swej długiej karierze

zawodowej (57 lat) pracował wyłącznie w tej dziedzinie, m.in. rozwijając i propagując Pakiet Obliczeń Produkcyjnych (POP), PESEL, KSI, INFOSTRADĘ, WEKTOR, CYFRONET (sformułowałem misję, nazwę i zdobyłem środki dewizowe) itp. systemy, opracował także pierwsze podręczniki i książki w tej dziedzinie (w sumie 40). Nie mówiąc o zorganizowaniu i kierowaniu wówczas najmocniejszym ośrodkiem obliczeniowym informatyki w Polsce (ZETO-ZOWAR), wyposażonym w amerykańskie komputery IBM 1440 i IBM 360/50 i inne, co wiązało się z wszechstronnym przeszkoleniem w wielu europejskich i amerykańskich ośrodkach (Londyn, Wiedeń, Paryż, La Hulpe - Belgia), Nowy York, i innych).

Jednakże „afery” Targowskiego nie była nagłaśniana. Wiedziałem, że nie mam szans. Grałem w tenisa i planowałem opuszczenie Ojczyzny.

Tylko Jacek Karpiński nie schodził z łam pras krajowej, dzięki swej innowacyjnej konstrukcji minikomputera K202, który był wyzwaniem dla krajowej produkcji dużych komputerów typu ZAM 41, RIAD 30 czy Odra 1305. Komputery te były za drogie dla polskich zastosowań. O tym pisałem w swym niedopuszczonym referacie na II Kongres Nauki Polskiej. Kiedy J. Karpiński zaczął mieć sterowane przez władze kłopoty w PRL, Polskie Towarzystwo Informatyczne nigdy nie stanęło w jego obronie. Jego osoba i nazwisko dopiero po 35 latach zaczyna funkcjonować w przestrzeni tego Towarzystwa.

Wynik strategii PTI dla dobra rozwoju informatyki w Polsce

W zasadzie Polskie Towarzystwo Informatyczne dzięki swemu pierw-



Fot. Sandstein / Wikipedia.org

szemu prezesowi prof. Władysławowi Turskiemu nie ma mocnej orientacji typu informatycznego, jakim są zastosowania tzw. zarządczych systemów przetwarzania danych w gospodarce, a nadal identyfikuje się raczej ze sferą tradycyjnej Elektronicznej Techniki Obliczeniowej. W 1981 roku termin „informatyka” został przyłączony przez PTI, ponieważ był wówczas bardzo popularny w kontekście społeczno-politycznym. W praktyce prezes PTI zredukował zagadnienia informatyki do zakresu ETO. Wyrazem tego jest jego milcząca rola i hamujący wpływ na rozwój zastosowań informatyki w krajowych systemach gospodarczych i publicznych w ciągu 14 lat (1976-1989), a także brak wpływu na rozwój tego typu systemów w III RP. Polska jest w tej dziedzinie na trzecim miejscu od końca w Europie. Potwierdzeniem tej tezy jest powstanie w 1995 roku Naukowego Towarzystwa Informatyki Ekonomicznej (NTIE), które było rozczarowane tym, że PTI nie interesowało się zastosowaniami gospodarczymi. Aczkolwiek w PRL ustami prezesa PTI „mądrzyło się” na ten temat w myśl PRL-owskiej zasady „na tym się nie znam, ale myślę, że...” Oczywiście PTI ma prawo do ustalania zakresu swoich zainteresowań. Jeśli nie

odpowiada mu informatyka gospodarcza, a informatyka techniczna czy obliczeniowa, typowa dla programów tzw. computer science („computing”) to jest to wyłączna jego sprawa. Moim zdaniem PTI odpowiada podstawowemu zakresowi działań prestiżowego amerykańskiego towarzystwa Association for Computing Machinery (ACM), ze 100 tys. członków. Jednak, gdy istnieje inne polskie towarzystwo naukowe, które zajmuje się informatyką gospodarczą, to wypada by ono zajmowało się historią tej dziedziny, a nie PTI, które w tym zakresie popelnia rażące błędy. Żeby powiedzieć o tym bardzo ogólnie.

Może ktoś zapytać, czy jeden prezes mógł tak pokierować PTI jak ja tu piszę? Oczywiście, że mógł, zwłaszcza, że był człowiekiem bardzo ekspresywnym, dynamicznym i „przekonyującym.” (...) Po zlikwidowaniu Krajowego Biura Informatyki (KBI) powstał Komitet Informatyki, którego przewodniczącym został sam premier, gen. P. Jaroszewicz, który nigdy nie zwołał tego Komitetu. Na dobre wygasł na 14 lat rozwój informatyki w Polsce. Niestety PTI wówczas nie wyrażało żadnego protestu w tej sprawie.

Jeszcze dzisiaj Złoty Wiek Informatyki, jaki był w latach 1971-

1974, PTI charakteryzuje jako najgorszy okres dla informatyki po II wojnie światowej. Podczas gdy w tym okresie trzykrotnie podwyższono wydatki inwestycyjne na rozwój informatyki w porównaniu z okresem gomułkowskim, wydano ok. 500 mln dol. na unowocześnienie struktury informatycznej kraju, i wysłano ok. 5 tys. informatyków na szkolenie na Zachód, którzy dali z siebie wszystko, by rozwijać swą ukochaną dziedzinę. I robili to świetnie, np. jak ci koledzy w Szczecinie, żeby nie być gołosłownym i nie zawęzić sprawy do mego geograficznego kręgu.

Duże wątpliwości budzi brak rozliczenia się po 1989 roku za rolę PTI w hamowaniu rozwoju informatyki w PRL w latach 1981-1989 przez jego prezesa. W tym brak jest odniesienia do oceny nieetycznej roli, jaką odegrało PTI w stosunku do niektórych pionierów rozwoju informatyki w Polsce. Stojąc dziś prawie nad grobem, te myśli pod rozwagę przekazuję młodszym informatykom, życząc im przede wszystkim dobrej etyki zawodowej.

Prof. dr inż. Andrzej Targowski
Western Michigan University
(USA)

W tekście dokonano nieznacznych skrótów. (z)



„Z dala od orkiestry” to film dokumentalny (godzina i 26 minut) opowiadający o życiu wybitnego Polaka prof. dr. Lubicz-Zaleskiego. Był naukowcem, literatem, poetą, tłumaczem, krytykiem literatury i sztuki, ale przede wszystkim nadzwyczaj ciepłym i dobrym człowiekiem. Zdaje sobie sprawę, że określenia ciepły i dobry człowiek w dzisiejszym wyrachowanym i zimnym świecie brzmią mało prawdopodobnie, ale słowa te nasuwają się nieodparcie po obejrzeniu filmu. Jest długi jak na dokument, ale reżyser Rafał Lewandowski (obywatel Francji i Polski) bardzo umiejętnie z wyczuciem i zaangażowaniem lekko prowadzi nas przez życie tego niezwykłego człowieka. W filmie mówią o nim jego najbliżsi przyjaciele, znajomi i rodzina. Szczególnie w ustach synów i kuzynów słowa o ojcu, kuzynie i stryju brzmią szczerze, są pełne miłości, podziwu. R. Lewandowski nakręcił film z maestrią. Bliższe półtoragodzinny seans ogląda się z rosnącym zainteresowaniem, bo też bohater filmu i współczesne mu czasy są niezwykle.

Zygmunt Lubicz-Zaleski urodził się w 1882 roku w rodzinie ziemiańskiej (Lubicz to herb Zaleskich). Studiował na Politechnice Warszawskiej i za udział w konspiracji niepodległościowej był więziony przez władze carskie. Studiował filozofię w Monachium i w Paryżu, później wykładał język polski na kilku uczelniach wyższych, również na Sorbonie, redagował też pismo Polak. W 1929 roku uzyskał habilitację na Uniwersytecie Warszawskim. Po wybuchu II wojny światowej przedostał się pieszo wraz z synem Andrzejem do Rumunii, a potem do Francji. Brał czynny udział we francuskim ruchu oporu, założył i kierował znanym liceum polskim Villard de Lans niedaleko Grenoble. Był za tę działalność aresztowany i osadzony w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie. Po wojnie powrócił do Francji. Zmarł w roku 1967 w Paryżu.

Już ten bardzo krótki życiorys pokazuje nam jakim człowiekiem był Zygmunt Lubicz-Zaleski. Również jego żona Maria z domu Zdziarska była wspaniałą kobietą. Działała w polskim ruchu niepodległościowym, brała udział w Powstaniu Śląskim, wojnie z bolszewikami oraz wojnie w 1939 roku. Za bohaterskie czyny, również jako lekarz, uhonorowana została krzyżem Virtuti Militari i stopniem kapitana.

Fot. Wikipedia.org



Z dala od orkiestry

Film „Z dala od orkiestry” uczy miłości do ojczyzny, skromności wobec dokonań tak zacnych ludzi, jak Zygmunt Lubicz-Zaleski i jednocześnie uczy pokory wobec przemijania.

Ale wróćmy do filmu. Większość rodziny mówi, co prawda po francusku, ale ten piękny język świetnie współgra z językiem ojczystym bohatera, co jest zasługą dobrego tłumaczenia. Chodzi mi o piękną polszczyznę, bo niestety nie znam języka francuskiego. Film byłby trochę nużący, gdyby nie świetne przerywniki. Są tam piękne nagrania Chopina (Zygmunt Zaleski świetnie grał na pianinie), jak również równie pięknie recytowane wiersze autorstwa bohatera filmu.

Nie sposób w krótkiej recenzji opowiedzieć wszystkiego o człowieku tej klasy i obdarzonego wieloma talentami. Muszę jednak powiedzieć o sprawie najważniejszej. Zygmunt Waclaw Michał Lubicz-Zaleski całe swoje długie i wspaniałe życie poświęcił zbliżeniu swojej ojczyzny Polski ze swoją drugą ojczyzną Francją. Jego dzieci i wnuki, znani uczeni i biznesmeni mówią po polsku i są dumni z tego, że są Polakami. Nie sposób nie wspomnieć o wnuczce pana Zygmun-

ta, pani Helenie Zaleskiej. To ona, będąc przewodniczącą fundacji „Zygmunt Zaleski Stichting”, którą założył jej słynny ojciec Roman, jest współtwórcą (poprzez pomysły i środki finansowe) tego pięknego filmu. Pani Helena Zaleska jest nie tylko znaną finansistką - była przewodniczącą rady nadzorczej Alior Banku - ale również znanym mecenasem sztuki. Jej Fundacja przyczyniła się do powstania znanego już i będącego na ekranach filmu o Jerzym Górskim - „Najlepszy”.

Również my, słupszczanie mamy być za co wdzięczni pani Helenie. Ona to bowiem po zwiedzeniu słupskiej galerii obrazów Witkacego podarowała miastu obraz jego autorstwa.

Namawiam do obejrzenia tego pełnego melancholii film. Podziw potęgują jeszcze przepiękne obrazy koni arabów, które w galopie z rozwianymi grzywami przebiegają przez ekran. To zresztą konie normandzkiej stadniny wnuczki Zygmunta Lubicz-Zaleskiego.

Maciej Kobylński, Słupsk

Rodzinne święta

Najbardziej wzruszający moment był wtedy, gdy tatuś dzielił opłatek. Pamiętam tę ciszę i słowa: „życzę ci córuś, abyś była zdrowa i dobrze się uczyła”.



Boże Narodzenie to najbardziej rodzinne dla Polaków święta. Prawda historyczna wskazuje, że były łącznikiem polskości w czasach zaborów i okupacji hitlerowskiej. Z największym sentymentem wspominam powojenne święta i wigilie w moim rodzinnym Zamościu. Było biednie, lecz młodzi rodzice starali się stworzyć taką atmosferę, że czuliśmy się z siostrą bajkowo.

Już ciemność otulała wioskę, kiedy mama wysyłała mnie na dwór, abym zobaczyła czy pojawiła się już pierwsza gwiazdka. Jej migotliwe światło oznaczało rozpoczęcie wigilii. W kuchni na stole pokrytym białym obrusem, pod którym była garść siana stały talerze z dużą ilością potraw. W kącie stał snop zboża, który miał wróżyć urodzaj na następny rok.

Najbardziej wzruszający moment był wtedy, gdy tatuś dzielił opłatek. Pamiętam tę ciszę i słowa jak dziś: „życzę ci córuś, abyś była zdrowa i dobrze się uczyła”. Całe cztery wojenne lata, ukrywał się, gdyż uciekł z niemieckiej niewoli. Myślę, że był to cud, że doczekał wigilii z własną rodziną i w swoim domu.

Dziś jeszcze czuję smak śledzia z ziemniakami, kompotu z suszonych gruszek, kaszy jaglanej z cynamonem, postnej kapusty z grochem, fasoli pomieszaną z ziemniakami.

Minęły wigilie dzieciństwa i młodości, rodzice byli coraz starsi i bardziej spracowani. Jednak zawsze wraca cudowne wspomnienie o wigilijnej gwieździe. Jako już starsze dziewczęta śmiałyśmy się, gdy tato brał opłatek i o 12-jej w nocy szedł do obory, by po-

dzielić się z krowami, które o tej porze, miały rzekomo przemówić ludzkim głosem. - Co ci tatusiu powiedziały? - pytałyśmy. A on na to, że to tajemnica.

Potem ubierało się choinkę. Mama z pobytu na przymusowej pracy w Niemczech, przywiozła od życzliwej Erny Szumacher śliczne bombki, które wieszałyśmy na gałązkach. Robiłyśmy z siostrą papierowe aniolki, łańcuch z kolorowej bibuły.

Pachniało świątecznym drożdżowym ciastem i chlebem z własnego pieca. Łzy stoją w oczach, gdy wspominam tamte lata. Migotanie świeczek na choince, trzask zimnych ognii, urokliwe przeżycia z dzieciństwa, przeszły w dorosłe życie.

Mimo że wigilia była „na bogato”, człowiek miał kłopoty. Na drodze życia wyrosły kwiaty zła. Mój kraj zmieniał się, piękniał. Mieszkając w Izbicy, na wigilijnym stole pojawiły się dobre ryby, obok karpia, sandacz, węgorz i inne rarytasy. Tylko kolędy płynęły pod zimowe niebo te same, dobre, serdeczne „Lulajże Jezuniu”, „Wśród nocnej ciszy” i ta najbardziej wzruszająca „Cicha noc”.

W latach dzieciństwa szło się na pasterkę około trzech kilometrów do Strzelec, a zimy były mroźne. Tu, w Izbicy mamy piękny kościółek i najważniejsze, że jest blisko. Żal tylko, że tyle ludzi z tej małej wioski zmarło i pewno duchy słuchają naszych kolęd śpiewanych w odmienionym świecie, rozpadzonej cywilizacji.

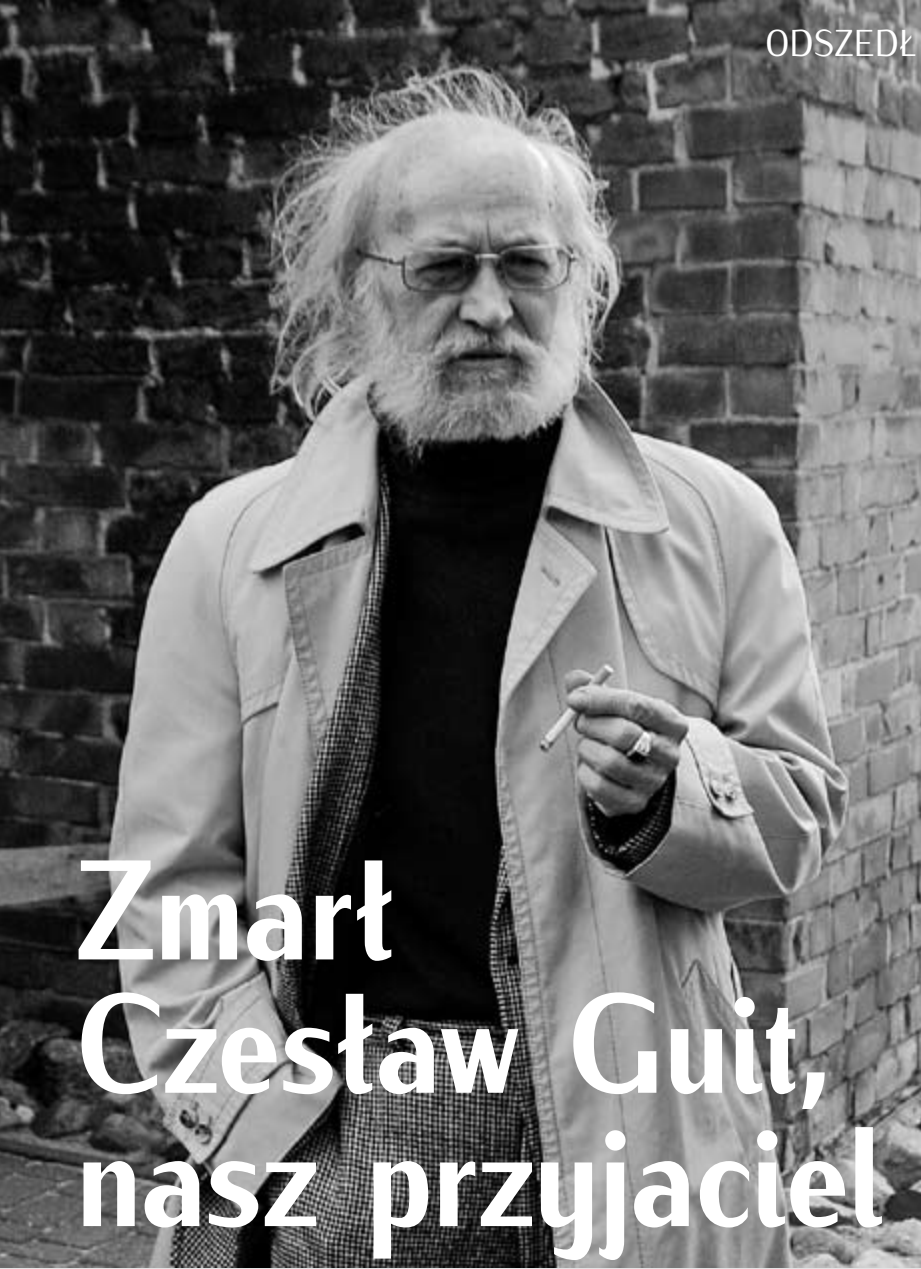
Dobrze, że Polska jest coraz piękniejsza, dziękować trzeba Bogu za ten dar.

Emilia Zimnicka, Izbica

Lata życia spędził na statkach dalekomorskich, poznając odległe morza i lądy, czemu dawał wyraz w swoich publikacjach na łamach marynistycznej prasy. W pewnym okresie swego życia zostawił pracę na statkach i przyjechał do Lubunia w gminie Kobylnica, gdzie szybko dał się poznać jako animator kultury i społecznik zainteresowany swoją małą ojczyzną. Tutaj oddał się pasji malarzkiej, modelarskiej i pisarskiej, rozpoczynając współpracę z naszym pismem oraz środowiskiem twórców skupionych przy starostwie. Był członkiem Stowarzyszenia Polskich Mediów w Warszawie. Pisywał obszernie fachowe artykuły na różne społeczne tematy, w tym bardzo często podejmował w nich tematykę kulturalną, twórczości artystycznej i dorobku kulturowego Pomorza. Trzeba oddać, że miał lekkie i wprawne pióro, składane przez niego do druku teksty zawierały wiele cennych przemyśleń wynikających z ogromnej wiedzy, a także życiowych doświadczeń bardzo dojrzałego już człowieka podchodzącego niezwykle pragmatycznie do życia.

Realizując swoją pasję malarzką wymyślał sobie tematy, które nie tylko pozwalały mu się wypowiedzieć artystycznie, ale dotyczyły ważnych kwestii z historii Polski, regionu i pomorskiej wsi, co było dla naszego pisma i w ogóle dla powiatu słupskiego niezwykle cenne. Był kilkakrotnym stypendystą Starosty Słupskiego w dziedzinie kultury, laureatem nagrody „Białego Bociana 2012” za indywidualność, wyjątkową aktywność twórczą i niepowtarzalność swoich prac. Systematycznie wystawiał marynistykę - żaglowce i bitwy morskie, modele statków w żarówkach, modele armat, ale i bogatą tematykę wiejską w całej obszerności od pomników przyrody, drzew pejzaży i krajobrazów do obiektów zabytkowych, klimatów z florą i fauną w tle.

Jego dorobek jako malarza jest nietypowy. Organizował spotkania ze sztuką i rozmowy z ludźmi o sztuce w ich środowiskach. Odbył około 70 wystaw w różnych miejscowościach powiatu, głównie w świetlicach wiejskich. Trafił też do Klubu Plastyka im. Stefana Morawskiego w Słupsku, choć był wy-



Zmarł Czesław Guit, nasz przyjaciel

Ze smutkiem i żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci Czesława Guita z Lubunia, dobrego człowieka, malarza marynisty (malującego na szkle), modelarza, społecznika, animatora kultury i publicysty. Zmarł 6 grudnia o godzinie 5.55.

raźnym i zdecydowanym indywidu-
alistą. Zorganizował m.in. wystawy:
„My z Lubunia - Portrety gawero-
wane sąsiadów”, „Lubuńskie klimaty
- impresje okienne z przyrodą w tle”,
„My z Krainy w Kratę - stare obiekty
i zabudowania Lubunia i okolic”, „Na
wiejską modłę - Lubuń sentymen-
talny”, „Od rolnika do rybaka”. Posiadał
ten walor, rzadki w zglobalizowanym
świecie, że chciał być słyszalny i wi-
dzialny, a w miarę możliwości wysłu-
chany i dostrzeżony.

Ścianę jednego z pomieszczeń
starostwa zdobi galeria czarno-bia-
łych i barwnych portretów twórców
poezji z regionu słupskiego, których
poznał i którzy m.in. inspirowali go
do artystycznej pracy. Sam z własnej

inicjatywy przekazał ją starostwu, nie
żądając nawet symbolicznej złotówki.
W starostwie zaprezentował prawie
wszystkie swoje wystawy. W Lubu-
niu chciał uruchomić prywatną gale-
rię sztuki, w której nie tylko można by
oglądać jego obrazy i modele statków,
ale również je kupić. Cały czas przy-
gotowywał taką galerię i sposobił się
do niej. Trwało to jednak długo i szło
jak po grudzie, bo materialnie nie był
zamożnym człowiekiem.

Mimo otrzymywanej tu i ówdzie
pomocy, ten wspaniały i bardzo ak-
tywny społecznie człowiek, prawie ca-
ły czas musiał walczyć o godne prze-
życie. Do tego zmagał się jeszcze ze
starymi problemami prawnymi, któ-
re nie dodawały mu energii, a prze-
ciwnie - jeszcze ją odbierały. Pomimo
przeciwności losu, różnych proble-
mów, jego niezwykła aktywność i
efekty podjętych działań wykraczają
daleko poza przeciętność, są nie tylko
konkretnym dorobkiem autora, ale i
wsi, w której mieszkał, gminy, powia-
tu. Mogą być uniwersalnym wzorem,
jeśli nie do bezpośredniego powiele-
nia i naśladowania, to przynajmniej
do jakiegoś wykorzystania.

Czesław Guit nie chorował dłu-
go, odszedł 6 grudnia o godzinie 5.55
w słupskim Hospicjum Miłosierdzia
Bożego. Nie zdążył przygotować ko-
lejnej wystawy i kolejnego obiecane-
go artykułu. Ostatni opublikował w
poprzednim numerze Powiatu Słup-
skiego. Nadał mu tytuł „Bronowo +”.

Synowi, którego pozostawił skła-
damy wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci niezwykłego i bar-
dzo opiekuńczego ojca.

Z. Babiarz-Zych, Słupsk



Fot. J. Maziejuk



Zabić śmierć

Po chwili dostrzegłem staruszkę w długim płaszczu i z torbą pełną puszek po piwie. Grzebała w koszu. Podszedłem do niej. Spojrzałem na jej dłonie... Odpadł jej paznokieć. Dwa paznokcie. I wtedy już wiedziałem, kto ocalił moje nędzne życie – ta, która zna je doskonale od podszewki.

Oto historia mojego życia. Banałna, zwykła, przeciętna. Opisana skrupulatnie i dogłębnie. Bez zbędnej ściemy, opisów i nudnych, cikliwych historyjek. Cała prawda. Bez ogródek i fałszu. Odkrywam wszystkie zakamarki duszy, każdy cal mojego wątłego ciała i najintymniejsze wspomnienia, o których wstydziłem się do tej pory mówić. Jestem zwykłym, szarym, przeciętnym facetem, który musi się uzewnętrznic. Chcę pokazać innym siebie. Prawdziwego. Szczerego. Muszę to zrobić. Muszę wypłuć z siebie wszystko, co zalega w moich żyłach już od dawna. Chcę to wydać, wyciąć, rozdrapać, zwymiotować pozorami normalności. Zmierzę się z tym. Właśnie teraz.

Oto moja spowiedź...

O 5.50 wyciągnięto mnie z matki, dosłownie. Nie mogła mnie urodzić siłami natury. Zwyczajnie, po prostu... cięcie, klaps, płacz i jestem. Krzysztof. To ten niosący Chrystusa. Nigdy go nie znalazłem. Pytanie, czy On znalazł kiedyś mnie? Czasem tak mi się zdawało. Dorosłość. O 5.50 zacząłem pisać. A skończę, kiedy? O 5.50 rozpoczęła się moja wędrówka. Przeżyłem. I oto jestem. Odstępstwa od normy? Norma – czy to pojęcie w ogóle coś oznacza? Nie. To puste semantycznie słowo. Wydmuszka. Taką wydmuszką było moje życie. Niezła metafora. Wyuczyli mnie tego. Zapoznali z tajnikami pisania. Nawet najmniejsza cząstka może być najbardziej

skomplikowanym układem w historii wszechświata. Człowiek? To taka istotka. Krucha i silna jednocześnie.

Wspomnienia

5.50 nad ranem. Moja ulubiona godzina. Wypijam kolejne piwo. Nie wiem, które z kolei. Wszystko mi się miesza. Włączam smutne piosenki – one zawsze mnie uspokajają i poprawiają humor. Dziwne, ale tak już mam. Coś smutnego, dołującego, przygnębiającego, wręcz odzierającego duszę z wszelkiej nadziei. Tylko ból, żal, głęboka rana. Czuję ją coraz bardziej. Czuję rozrywające, pękające serce. Kilka słonych łez spływa po policzku. Kolejny łyk z puszk. Teatralne zachowania. Nominacja do Oscara murowana. Spływający potok z oczu zatrzymuje się na zdjęciach. Nie cyfrowych, lecz starych, pogiętych, podartych fotach. Kolejne uderzenia pianina w ulubionej melodii. Te dźwięki odzierają moją duszę z jestestwa. Nie ma mnie. Odpłynąłem. Jestem nagi. Zupełnie nagi jak pisklę, które dopiero wykluło się ze swojej skorupy. Tak oto po raz kolejny oczyszczam się, by zdobyć siłę i wiarę, by przetrwać kolejny dzień. Mam dość tego życia. Już próbowałem z nim skończyć. Nie udało się. Pamiętam, że zawsze brakowało mi odwagi, aby wykonać ten ostatni ruch, przekroczyć granicę strachu. Chcę jednak tu być. Chcę marzyć i śnić, chcę, by karmiono mnie kłamstwami. Tak, chcę! Błagam się. Nie wiem, gdzie mam być, kogo pragnąć i po co tu żyć? Nikt mi na te pytania nie odpowiedział. A szukałem, chciałem, błagałem, ba! Modliłem się każdego wieczora!!! Gdzie On jest? Pytam się, gdzie On jest? Ten, który stworzył cały porządek układu zależności. Gdzie jest Ten, który sprawił, że tu jestem – w tym ciele, w tej duszy, z tymi myślami! Cholera! Nie mogę!... Cisza. Tylko ona może mnie dziś uratować. W tym stanie nie podołam...

Kolejne dźwięki pianina w ukołowanej melodii. Następny świat w głowie wita mnie szeroko rozpostartymi wspomnieniami. Kolejne, ente już piwo. Już nie wejdzie mi kolejne. Już nie chcę. Nie ma innej drogi. Inaczej się uduszę, rozdrapię, wyszarpię, zagnębię i zniszczę! Codziennosc znowu mnie rozwalila. Po raz kolejny zdeptała moje serce pragnące czegoś wielkiego. Błazen. Jestem zwykłym błaznem. Pękło. Coś we mnie pękło. Nie mogę pójść z tym dalej. Po prostu nie

Fot. J. Maziejuk

Fot. J. Maziejuk

mogę. Skrzypce. Uwielbiam słuchać dźwięku skrzypiec. Delikatnie, powoli, cichutko... Spazmy, które przeżywam, doprowadzają mnie do paraliżu. Pięć i pół minuty nut, dźwięków, melodii, uczuć, uniesień i upadków. Tak niewiele w tak potężnej sile świadomości. Ech, wspomnienia. Kotłują się w mej głowie niczym małe cząsteczki obijające się o siebie. W najmniej niespodziewanym momencie ujawniają się, pojawiają, przedstawiają. Oto jestem! Ja! Mały, mały, mały. W niebieskich galotach biegam po wsi umorusany od stóp do głów. Oto jestem! Nastoletni! Szukający miłości, buszujący w zbożu! I odrzucony na wieki wieków. Oto jestem! Dorosły. Po prostu zagubiony. Taki oto ja. No właśnie, jaki? Nikt tego nie wie. Jeszcze nikt nie trafił do tej duszy, nie poznał nawet najmniejszej jej cząstki. Nie pokażę. Nie ujawnię. Zatrzymam, schowam i zamknę. Nie dam! Połknę klucz. Nie pozwolę poznać prawdziwego oblicza, bo mnie zniszczą, sponiewierają, oplują. Swoją drogą, nie pierwszy raz. Ale teraz będę mądrzejszy. Będę silniejszy. Ciekawe. Kogo ja oszukuję? Chyba samego siebie. Nigdy się nie zmienię. Ludzie przecież

się nie zmieniają. Ciągłe są tacy sami. Przybierają tylko na wadze lub chudną, starzeją się, wszyscy bez wyjątku. I głupieją. Po prostu głupieją. Taka już nasza natura.

Wspomnienia. Znów mnie nachodzą. Tym razem 55 lat życia mojego ojca. To była udręka. Najgorsza rzecz, jaka mogła mnie spotkać. Ojciec. Czy można go nazwać ojcem? Leń, nierób, damski bokser, wyzykiwacz, kat. Bił, gnębił, poniewierał, zmiatał z powierzchni ziemi, obrażał w pył wszystkie pragnienia. Podły człowiek, zwyrodnialec, karaluch. Nigdy mu tego nie zapomnę. Nie miałem okazji, by się odwzięczyć. Zabrało mu czasu. Odszedł. Tak po prostu. Z dnia na dzień. Zabili go. Ci sami, z którymi pił do upadłego, okradał biednych i masakrował niewinnych. Piątego maja udał się tam, gdzie zabierają łajdaków i oprawców. Czy jest takie miejsce? Gdzie nie ma już ofiar i krwi upuszczanej z uwielbieniem? Nie ma ran na policzku, złamanych palców, oplutych twarzy, pociętych żył i prętów na plecach? Nie ma zaciśniętej pięści, jednej, potem dwóch i kilkunastu? Nie ma! To wszystko jest przy mnie, na mnie, we mnie. Siedzi głęboko pod skórą. Nie mogę sobie z tym poradzić. Piję, bo nie mogę zapomnieć. Nie potrafię. Staram się, ukrywam, śmieję się jak głupi, ale lzy okazują się silniejsze. Świta. Nadchodzi. Kolejny, beznadziejny, udawany dzień. Tym razem nie odegram roli człowieka. Dziś będę sobą, po prostu sobą. Zdejmę tę maskę. Już nie gram. Nie zagram komedii dla rodziny i znajomych. Niech w końcu się dowiedzą, niech zrozumieją. W końcu z dumą spojrzę sobie w oczy i powiem: To nie moja wina!

Anioł ze śmietnika

5,5 centymetra zabrakło, by nie było mnie już na tym świecie, bym odszedł na zawsze, by ktoś postawił na moim grobie idiotyczny wazonik ze sztucznymi kwiatami po 3 zł za sztukę lub tani zniczek zakupiony uprzednio w dyskoncie i to w dodatku raz w roku, na Wszystkich

Świętych. Niestety, tak to teraz działa. Nie ma lekko. Nikt już nie przychodzi na cmentarz, by powspominać, pożalić się lub poszczycić rewelacyjnym osiągnięciem, po prostu ze sobą pogadać. Tak. Myślę, że zmarli słyszą nasze słowa, czują je, odczuwają każdą wydaną z trzewi emocję. Tak z pewnością jest. A jeżeli się mylę, to na pewno kiedyś się o tym przekonam. I o mały włos nie przekonałbym się tego feralnego dnia. Nie był to wcale piątek trzynastego. Przeciwnie. Piękny, słoneczny, letni dzień. Szedłem chodnikiem wśród tłumu. Zamyśliłem się. Chyba tak było albo po prostu się zagapiłem. Sam już nie wiem, co ja takiego zrobiłem. Po prostu wszedłem na pasy na czerwonym świetle. Usłyszałem tylko pisk opon, głośne dźwięki klaksonów i pociągnięcie za koszulkę. Nie wiem, kto mnie uratował. Nikt się nie przyznał. Dziękowałem wszystkim wobec. Jednak niewielu to w ogóle obeszło. Przeszli na zielonym na drugą stronę i o tym zdarzeniu zapomnieli. Nie było tematu. Jakby nic w ogóle się nie wydarzyło. Nie byłoby mnie tutaj. Wąchałbym kwiatki od spodu. Z pewnością śliczne i kolorowe, jednak od spodu - mało przyjemna perspektywa. Pomyślałem sobie, że chyba anioł stróż nie miał dziś nic ciekawego do roboty, dlatego szedł akurat za mną krok w krok. Spojrzałem na swoją koszulkę. Rozdarta. Poszarpana. Zakrwawiona ręka. Jakby jakiś zwierzak rozszarpał mnie w ferworze walki o byt. Oczywiście przesadzam, a jedynie obrazuję moje zaskoczenie tym szczegółem. Nie wiem, do tej pory nie wiem, kto mnie ocalił. Może faktycznie to anioł stróż, na którym wieszałem ostatnie psy za to i za tamto. Przypomniawszy sobie, że jest... Po chwili dostrzegłem staruszkę w długim płaszczu i z torbą pełną puszek po piwie. Grzebała w koszu. Podeszedłem do niej. Spojrzałem na jej dłonie - stare, spracowane i... zakrwawione. Odepadł jej paznokieć. Dwa paznokcie. I wtedy już wiedziałem, kto ocalił moje nędzne życie - ta, która zna je doskonale od podszewki. Podeszedłem jeszcze bliżej, podałem jej dłoń, podziękowałem uśmiechem i czułym, zatroskanym spojrzeniem. Odszedłem. Nie odwróciłem się. Nie wiem, czy zorientowała się, że włożyłem jej do kieszeni płaszcza wszystkie pieniądze, które miałem w portfelu. Nie było tego wiele, ale dałem, co miałem. Za ocalenie mojego życia. Kilkadzie-



siąt złotych. Może w ten sposób przy-
 czynię się, że w tym dniu staruszka
 zje na kolację coś innego niż najtań-
 szy „biedronkowy” pasztet. Mam taką
 nadzieję. I to bardzo głęboką. Dziw-
 ne, w tak piękny, letni dzień chodzić
 w płaszczu. A może właśnie pod nim
 skrywała swoje olbrzymie białe jak
 śnieg skrzydła? A co z aureolą? W tor-
 bie z puszkami? A może był to anioł
 na emeryturze? Może odrzucony, wy-
 rzucony ze stanu anielskiego? Jedno
 jest pewne - o takich historiach sły-
 szy się w telewizji lub czyta w Internecie.
 Nie każdy jednak chce być celebry-
 tą, żądać zapłaty za uratowanie życia.
 Kolejny raz los dał mi szansę. Pytanie,
 czy dobrze ją wykorzystam. Przynaj-
 mniej się postaram. Taki mam zamiar.
 Będę niósł do przodu swój ziemski
 krzyż pański zbity z trosk, zmartwień
 i pozorów szczęścia.

Zbędne skóry tłuszcz

5,5 kilograma. Tyle postanowi-
 łem schudnąć w ciągu miesiąca, by do-
 brze wyglądać na plaży. Jest maj, więc
 może się wyrobię. Bo przecież znowu
 będę zmuszony podziwiać te wszyst-
 kie piękne i wydekoltowane ciała, ba,
 nagie, nagusienkie, wysportowane,
 naprężone i napakowane. Załamka.
 Totalna załamka. Wiszący, odstający
 brzuch. Mizerne mięśnie. Tak wyglą-
 da podstarzały lowelas, stary Latynos,
 który kiedyś uganiał się za spódnicz-
 kami, prawdziwy „pies na baby”, któ-
 rego ulubionym songiem było: „Trzęś
 tyłkiem mała jakbyś płonęła cała”. Sta-
 re czasy. Ale cóż, trzeba zmierzyć się
 z czymś zupełnie nowym. I nie cho-
 dzi tu tylko o wiek, zbędne kilogramy,
 ale przede wszystkim o porządek w
 psychicznym nastawieniu do świata,
 plugawej rzeczywistości. Nie! Kogo
 ja do cholery oszukuję! Starzeję się!
 Szmacę swoje cielsko jeszcze bardziej
 tłuszczem, frytkami, hamburgerami,
 alkoholem, słodyczami, parówami,
 ogromnym nakładem chemicznego
 utłuszczacza skórno! I co z tego?!
 Mam sobie strzelić w łeb? Skończyć
 z (pseudo)problemami podstarzałe-
 go chłopaka? Gdzieś przecież głębo-
 ko jest we mnie ten młody, aktywny,
 wysportowany, wyćwiczony w każ-
 dym ruchu i geście seksowny mło-
 dzieniec. Jest? Czy aby na pewno był
 tam kiedyś? Pamiętam, że w wieku 50
 lat mój znajomy przechodził kryzys
 wieku średniego albo nieco bardziej
 niż średniego. Trochę późno, ale męż-
 czyźni miewają go w różnym wieku.

Mnie też to na pewno czeka. Już od-
 liczam godziny, zmarszczki na czole,
 patrzę na zmęczone oczy, spracowa-
 ne ręce, odstający brzuch i zakola nad
 czołem. Niestety, kryzys wieku śred-
 niego dopadnie mnie pewnie jeszcze
 szybciej niż myślę. Zbyt intensywnie
 żyję, żeby było inaczej. Po prostu
 nie ma takiej opcji. Nie pogodzę się z
 upływającym czasem. Już się nie go-
 dzę. Ale z drugiej strony, co mogę zro-
 bić? Nic. Nie cofnę lat, nie odmłodzę
 się na siłę. Mogę jedynie zaakcepto-
 wać stan rzeczy. Co do Wojtka, to na-
 prawdę źle to przeszedł. Próbował na
 siłowni, w młodzieżowych sklepach
 odzieżowych i w burdelu. Nigdzie
 mu nie wyszło. Nawet stosowanie
 kremów odmładzających, rozświe-
 tających, spalających wszechobec-
 ny tłuszcz nie wyszło mu na dobre.
 Chłopak się załamał. Zdradzał żonę
 na prawo i lewo, dzieci się od niego
 odwróciły. Standard. Kolejna milio-
 nowa historia oglądana w tanim pa-
 radokumencie widzianym w telewi-
 zji na dowolnym kanale. Ale nie o to
 chodzi. Zaciekał mnie jeden ma-
 lutki szczegół - Wojtek sam był szczę-
 śliwy. Wcale nie potrzebował żony i
 dzieci do pełnego zadowolenia. Zo-
 stał sam, w wynajmowanej kawaler-
 ce. I było mu naprawdę cholernie do-
 brze. Nie sprzątał, nie prasował, nie
 gotował obiadów. Oglądał niemieckie
 pornole, pił hektolitry piwa i chodził
 na wszystkie możliwe imprezy. Ra-
 no leczył kaca, ogarniał się i biegł do
 pracy. Luzik. Wytrzymał tak pół ro-
 ku. Potem przyszedł kryzys i zadysz-
 ka. Coraz mniej kasy, jakiś problem z
 przyrodzeniem i wątrobą. Zmienił się.
 Jeszcze bardziej postarzał, osiwił. I
 chyba zrozumiał swój błąd. Chciał się
 ponownie wyszaleć. Wyjść ze sche-
 matu - dom, praca, dom, rutyna, ru-
 tyna, rutyna. Zabrakło fajerwerków,
 trochę innego spojrzenia na zastaną
 rzeczywistość. Ale Mariola nie dała
 mu szans na powrót. Kontakt z Wojt-
 kiem się urwał. Już nigdy się nie spo-
 tkaliśmy. Naszą pożegnalną imprezą
 były imieniny u Anki. Pamiętam je do-
 brze. Tam stało się coś dla mnie waż-
 nego - poznałem smak ust innych niż
 usta mojej żony. Totalne szaleństwo.
 Po kilku latach znalazłem nekrolog o
 Wojtku. Przykre. Nawet mnie to jakoś
 nie zdziwiło. Po prostu przyjąłem do
 wiadomości. Przeleknąłem informację
 o jego śmierci i odwróciłem stronę ga-
 zety na sport. Tam znalazłem ciekaw-
 sze dla mnie tego dnia informacje.

Śmierć

O 5.50 przyszła śmierć. Nieocze-
 kiwanie. Niepostrzeżenie. Ogrom-
 na, złota kosa i piękny uśmiech czar-
 nych od zgnilizny zębów. Uduśłem
 się. Byłem siny. Wyłupiaste oczy.
 Grymas strachu i przerażenia, któ-
 rego nikt nigdy nie był świadkiem...
 Spojrzałem na zegarek. 5.50. Pora
 wstawać do pracy. Ostatnio dopadają
 mnie dziwne sny, jakieś iluzje, oma-
 my. Dziwne to wszystko. Jakbym miał
 rozdwojenie jaźni. A może to począt-
 ki schizofrenii? Zaczynam się bać, bo
 nie rozumiem pewnych stanów mo-
 jego umysłu, o który tak bardzo sta-
 ram się dbać. Dużo czytam, nie oglą-
 dam głupich filmów, wietrzę głowę
 na balkonie. I piję. Coraz więcej piję.
 Ale przecież to nic złego? No, bo co
 mam robić wieczorem? Człowiek w
 końcu nie kaktus... Ale chyba kaktu-
 sy też czasem mają dosyć? Nie zma-
 gazynują wszystkich pokładów świę-
 conej od normalności wody. Żenada.
 Stabilizacja - pieprzone życie czło-
 wieka skazanego na nudne i pozor-
 nie szczęśliwe życie. Chyba wolę już
 targnąć się na egzystencję. Skończyć
 z tym teatralnym odchyłem. Po co
 tu w ogóle jestem? Co mogę jeszcze
 zrobić? Jedyne, co by mi teraz pro-
 fesjonalnie wyszło, to zabicie śmierci.
 Zarznąłbym ją tak profesjonalnie,
 że nawet nie zdążyłaby się odwró-
 cić lub mrugnąć wyłupiastym oczy-
 skiem. Dobre sobie. Ciach, bach i po
 problemie. Nie ma, odeszła. Od teraz
 już nikt nigdzie nie zemrze, nie odej-
 dzie na inny świat. Jestem cudotwór-
 cą! Wspaniałym twórcą! Kreatorem!
 Mistrzem! Jestem śmiercią! Śmiercią
 samego siebie! Co za wstyd! Hańba!
 Paraliż serca, rozumu, duszy. Brak na-
 tchnienia. Zabiłem śmierć, zabiłem
 siebie, zabiłem swoje życie. Straciłem
 ostatnią szansę na wyzwolenie! Ale
 ja nie chcę tak żyć! Wiem, że to bo-
 li, ale niech ktoś da mi szansę w koń-
 cu poczuć coś, coś, no właśnie - co?
 Czego mi brakuje? Nie wiem. I nawet
 nie próbuję się dowiedzieć. Zabijam.
 Zwyczajnie zabijam tę stronę głupo-
 tami tego drugiego, który przepycha
 pierwszego na tylne siedzenie mojej
 choroby. Tak już mam.

Krzysztof Surowiec
Ślupsk

Oryginalny tytuł reportażu to:
 „5.50”. Został on wyróżniony w Kon-
 kursie Literackim dla Nauczycieli - 2017
 organizowanym przez Pedagogiczną
 Bibliotekę Wojewódzką w Ślupsku. (z)

Geniusz Wyspiańskiego

Ciągle zdumiewa nas fenomen sztuki i talentu Wyspiańskiego, oryginalność i niezależność umysłu oraz pozostawiona bogata i różnorodna twórczość. Niektóre jego nowatorskie dzieła są nadal przedmiotem badań krytyki.



Fot. Wikipedia.org

W listopadzie br. minęła 110. rocznica śmierci Stanisława Wyspiańskiego, jednego z najwybitniejszych artystów epoki Młodej Polski, największego w naszych dziejach artysty teatru i jego reformatora, twórcę w Krakowie w końcu XIX i na początku XX wieku.

Był dramaturgiem, poetą, malarzem, rysownikiem, grafikiem, inscenizatorem teatralnym, twórcą nowoczesnego teatru polskiego. Pozostawił bogaty i oryginalny dorobek artystyczny o wielkim znaczeniu dla narodowego i światowego dziedzictwa. To jeden z niewielu w Europie artystów wypowiadających się po mistrzowsku w tylu rodzajach sztuk. Był twórcą niezwykle pracowitym, nazywanym przez przyjaciół fanatykiem trudu, oddanym bez reszty swym różnorodnym dziełom. Tworzył nie tylko z pasją, ale i z wielkim wysiłkiem. Żył zaledwie trzydzieści osiem lat, a pozostawił ogromny do-

robek twórczy w wielu dziedzinach sztuki.

Urodził się 5 stycznia 1869 roku w Krakowie, należącym wówczas do Monarchii Austro-Węgierskiej, w rodzinie, w której żywe były tradycje walki o niepodległość Polski. Dorastał w atmosferze sztuki, obserwując pracę ojca rzeźbiarza. W wieku siedmiu lat stracił matkę i od 1880 roku wychowywał się u krewnych. Jednakże pracownia ojca nieopodal wzgórz wawelskiego utrwaliła się w pamięci przyszłego dramaturga; będzie wracał w swej twórczości do symboli dawnej świetności państwa polskiego - katedry i zamku, zamienionego w jego czasach na koszarę, w których stacjonowało wojsko austriackie.

Wcześnie ujawnił uzdolnienia artystyczne i zainteresowania teatrem, malarstwem, także grecko-rzymskim antykiem, czemu sprzyjał program klasycznego gimnazjum św. Anny. Wśród kolegów szkolnych Wyspiańskiego by-

li m.in. Józef Mehoffer, Stanisław Esztreicher, Lucjan Rydel. W roku 1887 rozpoczął studia malarskie w Szkole Sztuk Pięknych, której dyrektorem był Jan Matejko, a równocześnie studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim historię, literaturę i historię sztuki.

W 1890 roku odbył pierwszą podróż zagraniczną - przez Włochy i Szwajcarię do Francji, a w drodze powrotnej przez Niemcy. Wielki zachwyt wzbudziły w nim francuskie katedry gotyckie, które utrwalił w rysunkach i opisał, określając m.in. chwilę tworzenia jako niezwykłą „orkiestrę pracy”. Fenomen katedry jako dzieła pełnego będzie powracał w jego artystycznych wizjach. Odkrywał jednocześnie świat teatru, który stanie się wkrótce jego największą pasją. Z entuzjazmem oglądał w Monachium dramaty muzyczne Ryszarda Wagnera, opery Webera i Verdiego.

W okresie 1891-1894, studiując malarstwo w Paryżu, fascynował się

Fot. M. Laskowska



inscenizacjami teatralnymi klasyków. Tam powstały zarysy pierwszych jego własnych dramatów, m.in. „Daniel” (1893), „Królowa Polskiej Korony” (1893), „Legenda” (1892-1897) i „Warszawianka” (1893-1898).

Wyspiański wrócił w 1894 roku do Krakowa jako dojrzały artysta, który miał możliwość poznać najnowsze prądy estetyczne i różnorodne estetyki europejskiego teatru. Kraków stał się źródłem jego inspiracji - malował zabytki i pejzaże, portretował znanych mieszkańców, zaprojektował i wykonał polichromię w kościele Franciszkanów oraz słynne witraże, uznawane do dziś za arcydzieła (m.in. „Bóg Ojciec”), a także witraże i polichromie w kościołach Dominikanów, Św. Krzyża i w katedrze na Wawelu. Wykonał ilustracje do I księgi „Iliady” Homera (w przekładzie Rydla), a jednocześnie wystawił „Warszawiankę” i „Lelewela”.

W roku 1897, pełniąc funkcję kierownika artystycznego czasopisma „Życie”, przedstawił nowatorską koncepcję drukarstwa jako sztuki, będąc twórcą formy graficznej pisma i wielu ilustracji. Opracował układy graficzne oryginalnych wydań własnych utworów dramatycznych, co zapoczątkowało nowy okres w dziejach polskiej książki i drukarstwa artystycznego.

W 1898 roku wydał drukiem „Legendę” (nakładem własnym, jak prawie wszystkie swoje dramaty), a w

1904 jej nową wersję jako „Legendę II”. W rok po „Warszawiance”, w 1899, ukazały się aż cztery dramaty: „Meleager”, „Protesilas i Laodamia”, „Lelewel” i „Klątwa”. Oprócz ważkich tematów historycznych poruszał dramaty człowieka wyobcowanego, doświadczanego tragicznym losem. Napisał poematy, związane z przeszłością i zabytkami Krakowa, jako poetyckie komentarze do tworzonych równolegle projektów witraży do wawelskiej katedry. Zajmował go też projekt przebudowy Wawelu. W tym czasie powstała część poematu-rapsodu „Bolesław Śmiały” oraz „Kazimierz Wielki”, a także utwór dramatyczny „Legion”, scen dwanaście.

Z jednej strony bardzo widoczna jest europejskość Wyspiańskiego, genialnego wszechstronnego artysty, który wytyczał nowe kierunki w sztuce, a z drugiej - jego silne zakorzenienie w polskości, narodowej tradycji i historii.

Największą sławę przyniosło mu „Wesele”, wystawione w krakowskim teatrze w marcu 1901 roku, uważane powszechnie za arcydzieło

i najważniejszy jego dramat, będący znaczącym głosem w dyskusji o sprawach Polski. Od tej pory zaczęto cenić Wyspiańskiego nie tylko jako niezwykłego dramatopisarza i wybitnego malarza, ale też jako „czwartego wieszczą”, spadkobiercę wielkich romantyków.

Był jednocześnie znakomitym portrecistą i pejzażystą, namalował liczne portrety znanych osób, wydobywając psychologizm postaci, a także autoportrety, wizerunki dzieci oraz pejzaże i kwiaty. Zajmował się ponadto sztuką użytkową, projektowaniem mebli i wnętrz. Od 1902 roku prowadził w Akademii Sztuk Pięknych katedrę malarstwa deko-

racyjnego i kościelnego, a w 1906 roku został profesorem tej uczelni. Wobec bezskutecznych starań o stanowisko dyrektora Teatru Miejskiego, zdecydował się zostać radnym, by móc wpływać na politykę kulturalną miasta. W 1905 roku zgłosił wniosek o powołanie komisji artystyczno-konserwatorskiej, która powstała po dwóch latach.



Fot. M. Laskowska

Wydane w 1903 roku „Wyzwolenie” wywołało ideową dyskusję nad problemami współczesnej Polski, zaś dramat „Bolesław Śmiały”, wystawiony w Krakowie w tym samym roku, zaprezentował Wyspiańskiego jako artystę teatru - był on bowiem także twórcą scenografii i kostiumów oraz współreżyserem. Tylko ten jeden raz miał możliwość zrealizować w całości własną koncepcję teatru. Napisał osiemnaście dramatów (wiele z nich sam reżyserował) oraz osiem rapsodów. Uważał, że spektakl należy pojmować całościowo, jako dzieło sztuki realizowane przez jednego artystę, który panuje nad tekstem, obrazem plastycznym, inscenizacją i reżyserią.

W programowym utworze „I ciągle widzę ich twarze” poeta zawarł swe artystyczne credo:

*„Teatr mój widzę ogromny,
wielkie powietrzne przestronie,
ludzie je pełnią i cienie”...*

Urzeczony Homerem napisał dramaty, które nawiązują do motywów antycznych - „Achilleis” (1903) oraz „Powrót Odysa” (1907), w pewnej części także „Akropolis” (1904), gdzie we wnętrzu katedry wawelskiej ożywają posągi i postacie z gobelinów. Powrócił do tematu powstania 1830 roku, tworząc jeden z najważniejszych swych dramatów, w którym historia przeplata się z mitami - „Noc listopadową” (premiera odbyła się już po śmierci twórcy, w roku 1908). Napisał subtelne liryki, nowatorskie studium o Hamlecie, „Skalkę” - dopełnienie „Bolesława Śmiałego”, parafrazę „Cyda” Corneille’a. Był też pierwszym inscenizatorem całości „Dziadów” Mickiewicza. Doprowadził do końca akcję tragedii „Sędziowie”; nie zdążył już natomiast ukończyć dramatu „Zygmunt August”.

Lata wielkiego natężenia sił twórczych i niezwykła pracowitość nadwyrężyły zdrowie artysty. Od lat ciężko chory zmarł w krakowskiej lecznicy 28 listopada 1907 roku. Został pochowany w krypcie zasłużonych w kościele na Skalce. Jego pogrzeb stał się żałobną manifestacją narodową.

Sztuki Wyspiańskiego weszły na stałe do repertuaru teatralnego i są wystawiane do dziś. W swych koncepcjach inscenizacyjnych był wielkim reformatorem i odnowicielem teatru europejskiego. Inspirował go Maeterlinck oraz Wagner ze względu na jego teorię syntezy sztuki - niejednokrotnie jednak, zdaniem nie-

których krytyków, przekraczał ich wpływy. Stworzył monumentalny teatr wielkich wizji, odnoszących się do istotnych problemów ludzkości i ważnych spraw narodowych. Był więc zarazem uniwersalny i narodowy. Czerpiąc z polskiej tradycji historycznej, jednocześnie odnosił się do ważkich problemów współczesności. Chciał obudzić sumienie narodu, gdyż sprawą dla niego nadrzędną było odzyskanie przez Polskę niepodległości. Wskazując w utworach słabości i niedojrzałość polskiego społeczeństwa, pragnął pobudzić je do patriotycznych działań, by Polska znów mogła istnieć jako samodzielne państwo. Z bólem wskazywał kontrast między życiem narodu w niewoli i pozycją narodów wolnych.

Zaangażowanie w sprawy Polski i miłość do sztuki to stałe elementy różnorodnej twórczości Wyspiańskiego. W codziennym życiu był człowiekiem wielkiego serca, wrażliwym na sprawy innych ludzi. Lubił dzieci, i one go uwielbiały - często skupiała się wokół niego gromadka zaciekawionych podczas malowania ich portretów. W serii lirycznych dziecięcych wizerunków są portrety dzieci artysty: „Śpiący Staś”, „Helenka”, „Śpiący Mietek”. Wiele portretów poświęcił żonie Teodorze z dziećmi, m.in. w cyklu „Macierzyństwo”.

Najważniejszy dramat Wyspiańskiego, „Wesele”, wydane w Polsce ponad sto dwadzieścia razy i tłumaczone na dziesięć języków, wyróżnia się największą liczbą inscenizacji. We wrześniu 2017 roku w warszawskiej Kordegardzie można było obejrzeć ekspozycję pod nazwą „Wesele” w Warszawie, której kuratorem był Rafał Węgrzyniak. Poprzez dokumentację wybranych przedstawień „Wesele”, granych na scenach warszawskich w latach 1906-2000, wystawa unaoczniała szczególnie charakter tego dramatu, który odzwierciedla i zarazem wywołuje zbiorowe emocje Polaków różnych pokoleń i środowisk społecz-

nych. W bieżącym roku odbywało się też w całym kraju narodowe czytanie „Wesela”.

Oprócz licznych dotychczasowych monografií dokonania Wyspiańskiego może nam przybliżyć wydana w tym roku przez Wydawnictwo Iskry publikacja Moniki Śliwińskiej: „Wyspiański - dopóki starczy życia”.

Dostępna w księgarniach jest także edycja albumowa „Stanisław Wyspiański” w opracowaniu Marty Ro-



Fot. Archiwum Autora

manowskiej, wydana przez Firmę Księgarską Olesiejuk, ze wstępem prof. Włodzimierza Szturca, którego fragmenty warto zacytować: „Świat dotykany ręką Wyspiańskiego zamieniał się w dzieło sztuki, gest twórczy, ten odpowiednik Stwarzania, wydobywał z materii jej tylko właściwą formę, modelował jej tylko temperaturę i moc oddziaływania, jej tylko właściwą prawdę. Poprzednikami takiego rozumienia aktu stwarzania byli Michał Anioł, który widział posąg ukryty w blasku marmuru, i Cyprian Norwid, który wyzwał słowo z targowiska mowy.”

Twórczość Wyspiańskiego to „przekazanie etosu artysty, ducha pracy, człowieka rozsądzającego jasno i ostro między fałszem i udaniem a prawdą” (...), to „pokora pracy i wartość głębokiej zadumy nad sumieniem człowieka”.

Maria Laskowska, Warszawa

Najpierw zarobić na życie

Dzisiaj realizuję się w rzeźbie i już wiem, że zaraziłam się nią na całe życie.

Wielokrotnie już zwracałem uwagę, że na przyszłego twórcę ma szczególny wpływ jego środowisko naturalne, atrakcyjne otoczenie przyrody, tradycje, przekazy rodzinne. Inspirują one do podejmowania działania artystycznego. Wieś stała się już źródłem wielu talentów i niewyczerpanym natchnieniem dla ludzi odkrywających swoje pasje.

zachęcić do plastyki. Już wtedy odniosłam pierwsze sukcesy na ogólnopolskim konkursie plastycznym pod tytułem „Moja ulubiona baśń lub bajka”. Takie były moje początki. Tworzenie czegoś z niczego interesowało mnie od zawsze. Kiedy byłam jeszcze małą dziewczynką podglądałam i uczyłam się od babci Anny Nadziejko wyrabiać ozdoby. Babcia mieszkała w Gardnie Ma-

lej. Wykonywała ze słomy gwiazdy na ścianę, pająki zwisające z sufitu dodatkowo ozdobiane kwiatami z bibuły. Nauczyła mnie również haftu i szydełkowania oraz malowania na szkle i serwetach. Często wieczorem siadałam i z natchnieniem tworzyłam stroiki lub malowałam. Były to miłe chwile.

Mimo uzdol-



Fot. Archiwum Autora

nień plastycznych i zainteresowania Liceum Plastycznym w Koszalinie, Jadwiga Jancz nie podjęła jednak w tym kierunku kształcenia. Trudne warunki rodzinne zmusiły ją do poszukania sobie szkoły zawodowej i szybkiego się usamodzielnienia.

Przedstawiając Jadwigę Jancz, bardziej mnie interesuje jej pasja twórcza i chęć zdobycia umiejętności snycerskich niż wykonane przez nią prace. Jest rzeźbiarką od niedawna. Swoje marzenia zaczęła realizować na kursie prowadzonym przez mistrza rzeźbiarstwa Zenona Frąckiewicza. Czy dużo się nauczyła od mistrza?

Urodziła się w latach sześćdziesiątych w Słupsku. Rodzice mieszkali w blokach na Zatorzu i pracowali w państwowych zakładach. Przyszła rzeźbiarka tutaj spędzała dzieciństwo i uczęszczała do Szkoły Podstawowej im. Janusza Korczaka. Dzisiaj tak wspomina tamten czas: - Z tego okresu utkwiła mi w pamięci ówczesna nauczycielka plastyki Danuta Rybicka. Umiała



Fot. Archiwum Autora

Fot. Archiwum Autora

Dziś, po latach, żałuje tamtej decyzji. Wtedy rozpoczęła naukę w Zasadniczej Szkole Ogrodniczej w Słupsku i wkrótce podjęła pierwszą pracę w laboratorium terenowym ziemniaka w szklarni Stacji Hodowli Roślin w Jezierzycach. W 1987 roku wyszła za mąż i po kilku latach przeprowadziła się do gospodarstwa rolnego dziadków w Gardnie Małej.



Fot. Archiwum Autora



Z przejęciem opowiada o swoich pierwszych doświadczeniach w rzeźbie: - Pod sprawną ręką Zenona Frąckiewicza nauczyłam się podstaw rzeźbiarstwa - poprawnego trzymania dłuta w ręku, wydobywania z kawałka drewna postaci. Potem poznałam sposoby zakonserwowania rzeźby. Mistrz podchodził do każdego uczestnika indywidualnie, ucząc cierpliwości i łagodności w podejściu do sztuki. Dzisiaj realizuję się w rzeźbie i już wiem, że zaraziłam się nią na całe życie. W trakcie wykonywania rzeźby zmieniam dłuta w zależności od potrzeb, od szerokiego aby dokonać nacięć ogólnego kształtu i zedrzeć korę z drewna, do wąskiego w zależności od wyrabianych szczegółów, głębszych lub szerszych zarysów rzeźby. Na zakończenie dopracowuję ostateczny kształt szlifówką lub papierem ściernym. Teraz rzeźba podlega konserwacji. Wykorzystuję do rzeźbienia najlepsze drewno, jakie nadaje się do snycerki, to jest lipowe. Ale często korzystam też z topoli, a teraz

eksperymentuję w brzozie.

Artystka wykonała już kilkanaście rzeźb. Jakie podjęła tematy? Wyrzeźbiła przedstawicieli kilku rzemiosł, które jeszcze funkcjonują w Gardnie: piekacza, rybaka, kominiarza. Wyrzeźbiła strażaka, kobietę z miotłą, św. Floriana - patrona strażaków, Żyda z sakiewką. Postacie te wykonała w różnej szczegółowości plastycznej. Wszystkie jednak posiadają wyraziste atrybuty specjalności. Za swoje prace

otrzymała pierwsze wyróżnienia w konkursach.

Rzeźbiarka wykorzystuje również swoje zainteresowania plastyczne do aktywizacji nieformalnego Koła Gospodyń Wiejskich. Na przykład wykonawcy dożynkowego wieńca niekonwencjonalnego otrzymali I miejsce na gminnych dożynkach i wyróżnienie na powiatowych. Liczna rodzina nie pozwala jej w pełni poświęcać się pasji rzeźbiarskiej. Obciążona jest wieloma pracami zarobkowymi, bo musi przede wszystkim zarobić na życie.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk



Fot. Archiwum Autora

Nie wpuszczajcie zła



Nowy Teatr im. Witkacego w Słupsku przygotował w międzynarodowej współpracy sztukę, która niesie głębokie przesłanie i powinna poruszyć widzów w dwóch krajach.

Ironiczna czarna komedia Maxa Frischa „Biedermann i podpalacze”, mimo że została napisana ponad pół wieku temu, stanowi wyjątkowo celną analogię do dzisiejszych czasów. Sztuka jest nową propozycją programową Nowego Teatru w Słupsku oraz wynikiem współpracy z reżyserem niemieckim Torstenem Münchow'em.

Max Frisch, pisarz i dramaturg, był Szwajcarem tworzącym w języku niemieckim. Zasłynął jako autor sztuki potępiającej wojnę „Nun singen sie wieder” z 1945 roku oraz z farsy oskarżającej i występującej przeciwko dyktaturze.

Sztuka „Biedermann i podpalacze”, pochodząca z 1953 roku, jest zaliczana do jego najlepszych utworów scenicznych. Motywy tragikomiczne przybierają w niej niekiedy formę makabrycznej groteski. Sztuka porusza problematykę egzystencjalną jednostki i jej zachowanie w sytuacji zagrożenia. Bohater Biedermann jest człowiekiem, który doszedł do dobrobytu w sposób nie zawsze uczciwy i chciałby za wszelką cenę zachować to, co zdobył. W sytuacji, kiedy miasto jest nękane ciągłymi pożara-

mi, terroryzowane przez podpalaczy, panuje panika i społeczna psychoza, Biedermann za wszelką cenę usiłuje nie dostrzegać tego, co się dzieje. Jego zachowanie to mimikra. Aby zachować komfort życia potrafi tolerować i akceptować zło oraz szerząc się przemoc. Nie podejmuje żadnych kroków mimo zaskakująco pojawiających się w jego domu dwóch zdeterminowanych podpalaczy.

Akcja sztuki rozgrywa się w atmosferze napięć sytuacyjnych, konfrontacji bohatera z rzeczywistością. Bohater chce wierzyć, że drobne, a z czasem coraz większe ustępstwa na rzecz oprawców, pozwolą mu na zachowanie statusu społecznego. Komunały wypowiedziane na scenie przez bohatera, nie mają nawet w podtekście autoironii. Powtarzane motto, że „dobroć zło zwycięża” w sytuacjach zagrożenia świadczy o braku u bohatera instynktu samozachowawczego.

Spektakl ma też akcenty groteski kryminalnej, czarnego humoru i znakomitą puentę. Bardzo dobre tłumaczenie dokonane przez Sławę Lisiecką, zawiera wyraziste teksty i świetnie napisane role, które dzięki kunsztowi

aktorskiemu odtwórców, są szczególnie zarysowane i mają wyrazisty przekaz współczesny.

Udział grupy niemieckiej jest znaczący i istotny (reżyseria: Torsten



Fot. Archiwum Autora

Münchow, scenografia: Tobiasz Nachtrodt, muzyka: Toma Leonhardt, asystentka reżysera: Julita Witt). Natomiast obsada aktorska jest całkowicie polska: Bożena Borek, Igor Chmielnik, Monika Janik, Jerzy Karnicki, Krzysztof Kluzik, Dominik Nowak. Na wyróżnienie zasługuje cały zespół aktorski, który stworzył akcje dynamiczne, zaskakujące i komediowe.

Dobre role, wynikające również ze scenariusza, zostały wyraziście wykreowane. Jest to szczególnie zasługa dwóch aktorów: zasłużonego dla słupskiej sceny Jerzego Karnickiego - jako pana Biedermanna i Dominika Nowaka - dyrektora teatru, który stworzył majstersztyk, wcielając się w rolę Jana Kowalskiego, byłego zapalnika i aktualnego podpalacza.

Panie Bożena Borek - żona Biedermanna i Monika Janik - pokojówka, miały mniejsze role, tym niemniej ich udział był konieczny, aby ożywić scenę. Wyjątkową rolę zagrał ulubieniec sceny słupskiej Igor Chmielnik. Gra Eisenringa - drugiego podpalacza. Wspaniale podkreśla cynizm postaci nonszalanckim postępowaniem, wyrafinowaną arogancją w stosunku do swoich ofiar.

Pełniący rolę chóru aktor słupskiej sceny Krzysztof Kluzik prowadził narrację nieco zbyt głośno i patetycznie w odniesieniu do akcji toczącej się na scenie.

Scenografia i okolicznościowa iluminacja to zasługa Tobiasza Nachtrodt'a,



który stworzył uniwersalną oprawę spektaklu.

Premiera sztuki odbyła się 2 grudnia. Po spektaklu miałem okazję porozmawiać z dyrektorem Dominikiem Nowakiem o tym, jak powstała koncepcja wystawienia sztuki i jaki był początek współpracy z reżyserem T. Münchowem. Dowiedziałem się, że przedsięwzięcie, oprócz wyzwań artystycznych, zaangażowało słupski teatr też organizacyjnie. Spektakl powstał dzięki wsparciu finansowemu Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej oraz miasta Słupska w ramach projektu „Ponad granicami” realizowanego przez słupski teatr. W ramach tego projektu zostanie również zaprezentowany w Hamburgu i we Flensburgu.

Wyzwaniem teatru była koordynacja pracy kilku instytucji w Polsce i Niemczech, artystów, techniki scenicznej, pracowników organizacji - a wszystko w języku polskim, niemieckim i angielskim. W efekcie powstała międzynarodowa produkcja, która może cieszyć i poruszać widzów w obu krajach.

W premierowym przedstawieniu widzowie otrzymywali pudełko zapalek wydrukowane specjalnie na tę okazję. Przy wejściu do teatru

zorganizowano też pokaz zabawy z ogniem, stały beczki reklamujące spektakl, paliły się koksowniki nawiązujące do atmosfery stanu wojennego. Wszystko dla dobrej atmosfery, a także, aby sprowokować widza do refleksji, sprawdzić czy przyjmie rolę bezwolnego narzędzia w rękach podpalaczy, czy będzie starał się przeciwdziałać ich zamiarom?

Max Frisch w swojej sztuce przekazał istotne przesłanie, a słupski zespół aktorski profesjonalnie potrafił to przedstawić. Myśl autora jest następująca:

„Tragiczna komedia i ironia są jedyną możliwością wyrażenia problematyki współczesnego świata”.

Jednak czy to wystarcza?

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

Fot. Archiwum Autora

Fot. Archiwum Autora



Fot. Archiwum Autora

Bogusław V Wielki – miłośnik prawdy i wróg obłudy

Bogusław V, pierwszy książę słupski gdy obejmował nowo powstałe państwo miał około pięćdziesięciu lat. Rzec można, że od dziecka zajmował się polityką, a po prawdzie to polityka zajęła się nim. Gdy zmarł jego ojciec książę wołogoski Warcisław IV, miał lat osiem albo dziewięć.

W imieniu jego i młodszych braci, rządy sprawowała matka Elżbieta Piastówna, córka księcia Bolka Świdnickiego. Warto w tym momencie zatrzymać się, aby uzmysłowić sobie kiedy to w średniowieczu młody człowiek uzyskiwał pełnoletniość, zwaną też wiekiem sprawnym. Otóż, aby być sprawnym do zawarcia małżeństwa, jak i objęcia władzy panna musiała skończyć lat dwanaście, a młodzieniec piętnaście. Bogusław z matką regentką walczył o schedę po ojcu z Brandenburgii przez całe lata. W sąsiednim Księstwie Szczecińskim rządili jego krewni gryfici Otton I i Barnim III. Przyszli oni z pomocą Bogusławowi i jego braciom za cenę objęcia opieki nad nimi. Ta wymuszona opieka książąt szczecińskich nie była dla państwa młodego księcia wygodna, aczkolwiek chroniła po trosze przed wspólnym wrogiem - Brandenburgią. Jak słusznie zauważa profesor Zygmunt Boras: „długie lata sprawowania przez Książąt Szczecińskich władzy na terenie Księstwa Wołogoskiego przyniosły wiele złego. Zewsząd narastało zagrożenie. Liczne konflikty nie znajdowały rozwiązania, a na domiar złego księstwo zostało poważnie uszczuplone przez ustępstwa na rzecz Zakonu Krzyżackiego. (Zygmunt Boras: „Książęta Pomorza Zachodniego”, Wydawnictwo Poznańskie 1968, Biblioteka Słupska, tom 19, strona 39). To właśnie ci opiekunowie, jak przypuszczam, oraz brak pieniędzy na obronę granic zmusiły Bogusława (miał tylko 10 - 11 lat) i księżną Elżbietę do zastawienia na dwanaście lat Słupska Krzyżakom.

Skądinąd wiemy, że Bogusław wraz z mieszczanami słupskimi i rycerstwem wykupił od Krzyżaków ziemię słupską. Miał wtedy 22 lata i był zaprawionym w bojach władcą. Jak ciężką była władza książąt szczecińskich również i dla ich poddanych niech świadczy fakt złożenia hołdu przez Szczecin Bogusławowi V. Stało się to 28 stycznia 1341 roku, a dwa dni później Gryfino też uznało Bogusława za swojego pana.

Nie zajmujemy się losami Księstwa Szczecińskiego, ale już na podstawie tylko tych faktów widać, że młody książę Bogusław nie miał łatwego życia od początku. A przecież do powstania Księstwa Słupskiego upłynęło jeszcze prawie trzydzieści lat.

Ale wróćmy do dalszych losów Bogusława. W 1343 roku, 24 lutego w Poznaniu zaręczył się z córką Kazimierza Wielkiego - Elżbietą. Małżeństwo zawarli kilka dni później. Było to doniosłe wydarzenie dla Polski i Pomorza, gdyż za tym dynastycznym mariażem poszło przymierze. W podniosłym tonie pełnym serdeczności i uszanowania Bogusław V w imieniu swoim, braci Barnima i Warcisława i „za pełną zgodą naszej najdroższej matki pani Elżbiety” dziękuje za rękę królowej Elżbiety i deklaruje królowi Kazimierzowi Wielkiemu wierność i przyjaźń. Jak mówi dalej w tym akcie: „Pana naszego króla przyjęliśmy odtąd na najdroższego nam ojca, któremu synowską uległością chcemy po kres naszego życia być uległym.”

Mile to słowa, szczególnie dla nas, Polaków mieszkających w polskim Słupsku, który za czasów Bole-

śława był pomorski (słowiański). Ale dla sojuszu polsko-pomorskiego ważniejsze są postanowienia przymierza, w którym Bolesław zobowiązuje się nie przepuszczać przez tereny księstwa rycerzy udających się z zachodu do „Krzyżaków z zakonu teutońskiego”. Książę zobowiązuje się również do udzielania Polsce pomocy w sile 400 dobrze uzbrojonych rycerzy. Przymierze ma charakter wzajemny i wpisuje się w szereg wspólnych działań przeciw państwu krzyżackiemu, największemu zagrożeniu dla Polski i Pomorza (na podstawie „Dziejów Pomorza Słupskiego” M. Szczanieckiego i K. Ślaskiego, strona 49 - 51). Przymierze z Polską wzmocniło znacznie pozycję Bogusława w jego ciągłych sporach z sąsiadami o utrzymanie jedności Księstwa Wołogosko-Słupskiego.

W latach 50. XIV wieku Bogusław walczył również z Meklemburgią o ziemię na zachód od Odry. Zawarł, co prawda rozejm, ale zerwał go chcąc odzyskać Rugię, ziemię rungińską i okręg Barda. Walki trwały długo i toczono je ze zmiennym szczęściem. W końcu w 1354 roku zawarto rozejm, na mocy którego Meklemburgia rzekła się ziemi rugijskiej i ziemi wkszańskiej, a Bolesław zobowiązał się nie budować zamków na pograniczu z Meklemburgią.

Ustalono również, że sprawy sporne będzie rozstrzygał sąd polubowny składający się z przedstawicieli rycerstwa z obu stron oraz czterech miast (dwa meklemburskie i dwa Gryfitów). Czytelnikom, którzy nie uważali na lekcjach geografii o naszym zachodnim sąsiedzie, pozwolę sobie przypomnieć, że polskie Bardo to niemieckie Barth leżące nad Bałtykiem. Ziemia wkrzańska to ziemia nad niemiecką rzeką Ucker (polska Wkra), która płynie równolegle do Odry i wpada do Zalewu Szczecińskiego po niemieckiej stronie. Wyspa Rugia to największa piękna wyspa niemiecka na Bałtyku. Wszystkie te ziemie wchodziły w skład Pomorza Wołogoskiego Gryfitów. Nazwa wywodzi się od miasta Wolgast w dzisiejszym północno-wschodnim rejonie Niemiec. Wolgast to polska Wołogoszcz - stolica Księstwa Wołogoskiego. Kilkakrotnie było nazywane ono Księstwem Wołogosko-Słupskim.

Wracając do protoplasty dynastii słupskiej Gryfitów, od lat dr Bronisław Nowak, największy obok Zdzi-

ślawa Machury popularyzator Słupskich Gryfitów, nazywa Bogusława V wielkim, uważając, że jest naszym słupskim najwybitniejszym władcą, większym niż Bogusław X Wielki. Nie przesądżając sprawy uważam, że obydwaj zasługują na przydomek „Wielki”. Bogusław V wiele lat walczył o zachowanie jedności państwa wologowsko-słupskiego. Udało mu się to wraz z matką Elżbietą Piaśtówną blisko pół wieku. Tymczasem dorosli nie tylko jego bracia, ale również ich synowie. Synowie Barnima IV - Warcisław VI i Bogusław VI oraz brat Bogusława V - Warcisław V domagali się dla siebie osobnych nadań. Nie zawahali się poprosić o pomoc Brandenburczyków. Walki, a w zasadzie potyczki trwały dwa lata i zakończyły się podziałem księstwa. Brat Warcisław V, najmłodszy, otrzymał Szczecinek, a synowie Barnima IV - Księstwo Wologowskie, tj. ziemie na zachód od rzeki Świny. Bogusław zatrzymał przy sobie ziemię na wschód od Świny - stargardzką pyrzycko-nowogardzką i białogardzką oraz Trzebiatów i Wolin. Przy Bogusławie została też ziemia słupska z Darłowem i Sławnem oraz tak zwany lennem bytowski-łęborskim. Stolicą państwa

stał się Słupsk. Tak oto Bogusław V Wielki stał się panem Księstwa Słupskiego obejmującego obszar od rzeki Łeby na wschodzie po rzekę Odłę i Wolin na zachodzie. Południową granicę stanowiła puszcza miastecka, ziemia szczecinecka oraz ciągle zmieniająca się granica z Branderburgią i Księstwem Szczecińskim. Poza księstwem pozostawało Księstwo Biskupów Kamieńskich z Koszalinem i Kołobrzegiem oraz ziemia szczecinecka.

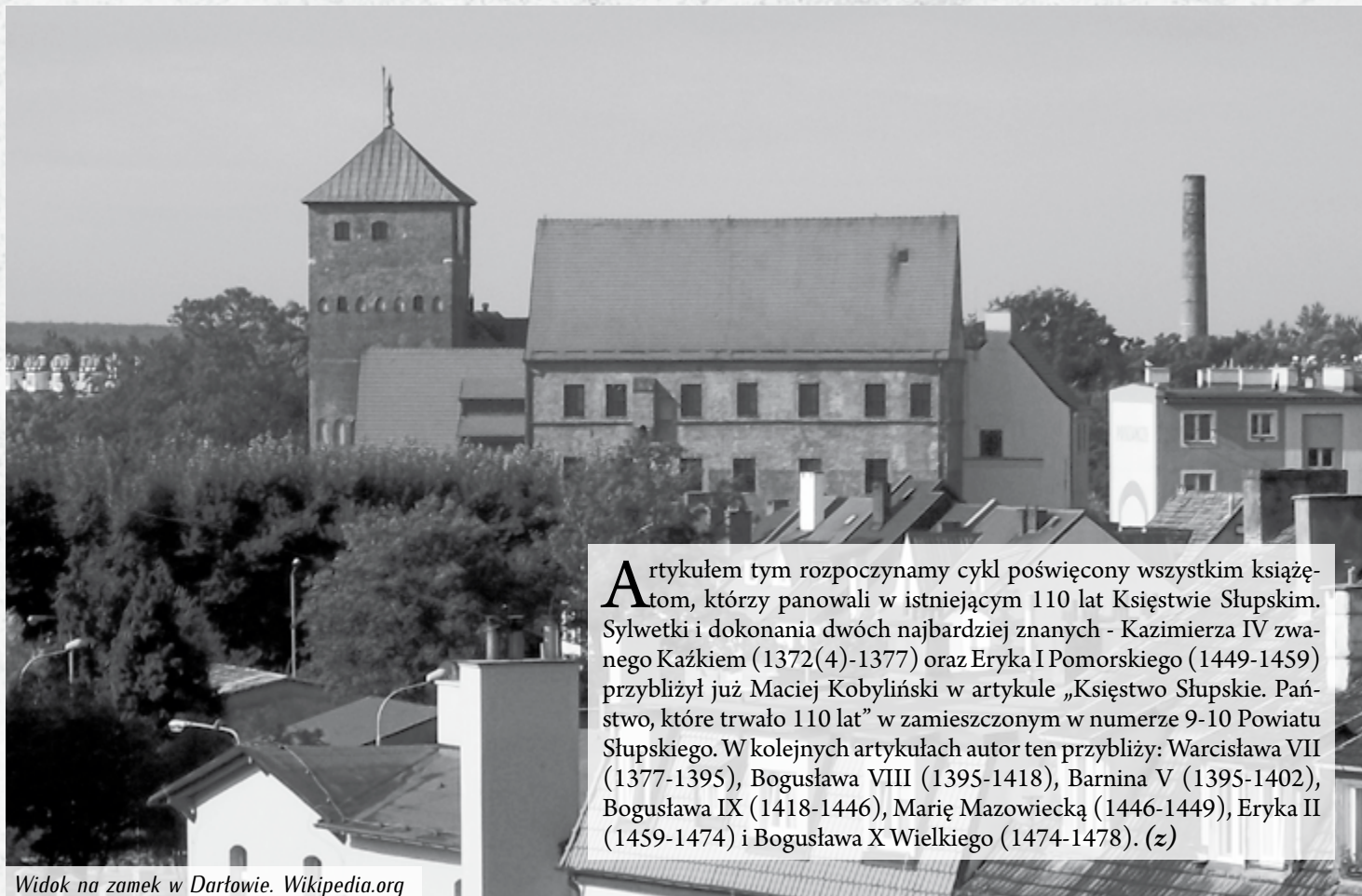
Zważywszy jednak, że ziemie biskupstwa były pod opieką Bogusława, a ziemią szczecinecką zarządzał brat Władysław V, nie mający żadnych ambicji politycznych, bez większej pomyłki możemy je zaliczyć do Księstwa Słupskiego. Nasz bohater tylko sześć lat zasiadał na słupskim stolcu. Zmarł bowiem w 1374 roku w wieku 54 (55) lat. Z dzisiejszej perspektywy był człowiekiem stosunkowo młodym, ale w średniowieczu był to już wiek podeszły. Pochowano go w pięknej gotyckiej Katedrze Kamieńskiej, najokazalszej i najważniejszej świątyni w jego Księstwie Słupskim. Na pewno był wspaniałym władcą charyzmatycznym i dzielnym. Był też dobrym gospodarzem i wodzem. Szanował mieszczan, za-

pewne widząc w nich nową siłę, która staje się podporą i partnerem mądrej władzy książęcej. Chciał wybudować zamek w Słupsku, ale sprzeciw mieszczan, których szanował za pomoc w wykupie Słupska, budowę wstrzymał. Zbudował natomiast zamek w Darłowie, który stał się drugą siedzibą (lepszą niż stary gród w Słupsku na wzgórzu, gdzie stoi teraz kościół Świętego Ottona) panujących książąt słupskich.

Kończąc opis pięknej postaci Bogusława V powtórzę za profesorem Zygmunt Borasem: „w Pomorskich kronikach zachowały się dobre opinie o księciu Bogusławie V. Był on władcą pełnym odwagi i dzielności, miłośnikiem prawdy i wrogiem obłudy. Nie cierpiał, zwłaszcza pochlebców i lizusów. Ulubionym jego przysłowiem było powiedzenie: „strzeż się ocukrzonych języków” (Z. Boras: „Książęta Pomorza Zachodniego”).

Maciej Kobyliński, Słupsk

Od redakcji: W tekście „Księstwo Słupski. Państwo, które trwało 110 lat” w poprzednim numerze „Powiatu Słupskiego” błędnie podaliśmy nazwisko autora publikacji historycznych. Poprawnie brzmi ono: Michał Szczaniecki. Za niezamierzoną pomyłkę przepraszamy. (z)



Widok na zamek w Darłowie. Wikipedia.org

Artykułem tym rozpoczynamy cykl poświęcony wszystkim książętom, którzy panowali w istniejącym 110 lat Księstwie Słupskim. Sylwetki i dokonania dwóch najbardziej znanych - Kazimierza IV zwanego Kaźkiem (1372(4)-1377) oraz Eryka I Pomorskiego (1449-1459) przybliżył już Maciej Kobyliński w artykule „Księstwo Słupskie. Państwo, które trwało 110 lat” w zamieszczonym w numerze 9-10 Powiatu Słupskiego. W kolejnych artykułach autor ten przybliży: Warcisława VII (1377-1395), Bogusława VIII (1395-1418), Barnima V (1395-1402), Bogusława IX (1418-1446), Marię Mazowiecką (1446-1449), Eryka II (1459-1474) i Bogusława X Wielkiego (1474-1478). (z)

Trzecie widzenie

Zenobiusz B. po drugim procesie sądowym został skazany na sześć lat pozbawienia wolności na oddziale psychiatrycznym więzienia o zaostrzonym rygorze. W jego pojedynczej celi na ścianach wisiły religijne obrazy, które sam namalował. Odnalazł w sobie nowe powołanie i talent. Po dawnemu też w tajemnicy przed władzami więzienia i okiem kamer uzdrawiał, dotykając dłoni chorych współwięźniów, a także strażników.



Fot. J. Maziejuk

Zenobiusz B., do którego przylgnęło określenie cudotwórcy początkowo specjalnie się nie wyróżniał spośród mieszkańców małej wioski. Był zawsze jakiś nieobecny i wycofany i nawet miejsce, w którym mieszkał było położone na uboczu wsi. Mężczyzna pracował w fabryce okien w jednym ze średnich miast. Zatrudniony w systemie trzymianowym często zatraczał właściwą proporcję między dniem a nocą. Jedynie urlop dawał mu możliwość solidnego odpoczynku. Wtedy nie wychodził z łóżka i tak spędzał tygodnie. Mieszkał sam i czas nie odgrywał w jego jaźni istotnej roli. Zaraz po śmierci ojca doszedł do wniosku, że pole, z którego dumny

był jego protoplasta, stanowi dla niego balast i sprzedawał okazynie. Jednak niedługo potem wyszło na jaw, że na transakcji tej został oszukany.

Nigdy nie przywiązywał znaczenia do posiadanych pieniędzy, choć jak na chłoporobotnika zarabiał nieźle. Miał oczywiście konto w banku, ale nie sprawdzał stanu zgromadzonych tam środków. Wystarczyło mu, że podczas dokonywania codziennych zakupów w sklepie wiejskim miał czym za nie zapłacić.

Od zdarzenia jak został okradziony w swojej chacie po powrocie z pracy, kartę bankomatową trzymał na komunijnym łańcuszku na piersi. To pewnie i tak nie uchroniłoby go od jej

zaboru. Ale tak czuł się pewniej. Komunijny łańcuszek miał stanowić dla potencjalnych złodziei przeszkodę. Nigdy nie obnosił się stanem swojego konta. Żył w rozpadającej się chacie, która natychmiast potrzebowała remontu, a na przystanek pekaesu szedł pieszo kilka kilometrów. Również to, że żył samotnie niejako wynikało z jego złożonej psychiki. Po śmierci matki nie umiał zaakceptować w swoim życiu żadnej kobiety. Był za to człowiekiem głęboko religijnym, choć żałował nieraz, że życie musi toczyć samotnie. Przyjmował to za krzyż niesiony dla umacniania swojej gorliwej wiary. Tak mijały mu lata, w których tył niemiłosiernie i łysiał coraz bardziej.

Pewnego razu w niedzielę, kiedy jak zwykle szedł za potrzebą do sła-wojki, tuż za drewnutnią ukazała mu się Matka Boska. Była przeźroczysta, ubrana na niebiesko i bił od niej tak jasny blask, że mężczyznę powaliło na kolana. Matka Boska przemówiła łagodnym głosem i nakazała mu uzdrawianie ludzi, choć on sam żadnych predyspozycji ku temu nie miał. Mógł się jedynie pochwalić zawodówką. Ale tłumaczył sobie, że Matka Boska wie lepiej, i że skoro jego wybrała, to ma w tym jakiś cel.

Pewnie w tym momencie żałował, że nie zagląda do kieliszka, bo tak byłoby mu łatwiej przejść przez Maryjne objawienie. Pewnej nocy tuż przed urlopem doznał dziwnego mrowienia w dłoniach, a potem jego ciałem wstrząsnął paraliż i unieruchomił na kilkanaście minut. Złany potem leżał długo bez ruchu i się modlił. Po słowie „amen” paraliż zelżał i odpuszcił. I nawet to wówczas nie dało mu sposobności dla sprawdzenia swojej mocy. Nie wierząc we własne siły zignorował słowa Matki Boskiej, która ponownie ukazała się mu w trzy miesiące od pamiętnego wydarzenia. Tym razem w stołowym pokoju tuż przy maminej gromnicy w okowach pajęczyny. Również wtedy przekonywała go do podjęcia decyzji o uzdrawianiu ludzi. Nie bagatelizował jej słów tylko nie umiał się do tego zabrać. Okazja nadarzyła się wkrótce w miejscu pracy. Tą iskrą Bożą okazał się być Kazimierz R., który był potem świadkiem w procesie karnym o uprawianie nielegalnych praktyk zagrożających zdrowiu i życiu ludzkiemu oraz czerpaniu z tego procederu korzyści materialnych.

Sprawę wytoczyła mu Naczelna Rada Lekarzy Polskich. Świadek zeznał wówczas, że wtedy, kiedy uległ wypadkowi, oskarżony Zenobiusz B. dotknął jego czoła i kazał mu wstać. Kazimierz R. wypełnił wówczas polecenie kolegi, choć rany, jakie odniósł spadając z podestu wskazywały początkowo na jego śmierć. Po przyjeździe karetki pogotowia lekarz, który ledwo trzymał się na nogach, uznał tylko, że przypadek nie wymaga interwencji chirurgicznej ani żadnej innej. Wniesiony do karetki prawie natychmiast zasnął.

Ten incydent dał Zenobiuszowi B. większą wiarę w siebie i nappełnił jego dotąd wątpiącą duszę większą otuchą. Choć podobnych przypadków nie szukał, one odnajdywały go same. Wkrótce jego chata za sprawą uratowanego chłopca Janka S. od pewnej śmierci w wyniku zatrucia sepsą, również świadka w procesie sądowym, stała się swego rodzaju ostatnim miejscem dla osób poszukujących pomocy.

W pół roku później od pierwszego zdarzenia Zenobiusz B. porzu-

cił pracę w fabryce okien i poważnie wziął sobie do serca słowa objawionej mu Matki Boskiej. Wioska, w której mieszkał stała się swego rodzaju ośrodkiem medycyny niekonwencjonalnej. Chata, teraz wyremontowana, stała się prywatnym gabinetem, w którym przyjmował, i rzecz jasna, uzdrawiał. Leczył wszystkich bez względu na zajmowaną pozycję społeczną. Prześwietlał wzrokiem ciała pacjentów niczym laserem, diagnozował zainfekowane organy oraz wszelkie zmiany chorobotwórcze i zwyrodnienia neurologiczne. Potrafił bez odpowiedniej wiedzy wskazać bolące miejsce i podczas piętnastominutowego seansu, to miejsce wyleczyć. Mówił, że to, co robi, robi jego dłońmi Matka Boska, on tylko jest jej narzędziem. Namawiał do gorącej modlitwy za wszystkich ludzi, nawet tych, którzy mu złorzeczyli i odgrzali się, że doniosą o tym co robi do odpowiednich władz. Tak się stało dwa lata później.

O pieniądze nigdy nie zabiegał, z szacunkiem i wdzięcznością przyjmował dary materialne. Nie brał ich dla siebie tylko rozdawał bardziej potrzebującym. Ale zjawiała się doradczyni Krystyna P. i zaoferowała mu swoją pomoc. Za logistyczną stronę przedsięwzięcia zażądała pięciu procent!

- Dobrze jej patrzyło z oczu - zeznał później znachor podczas pierwszego przesłuchania w komendzie policji. Tymczasem Krystyna P. przetwarzała otrzymane przez Zenobiusza B. dary wdzięczności za uratowanie życia czy pozbycia się uciążliwego kalectwa i zamieniała na gotówkę. Wstawiała te przedmioty do komisju, który, jak się okazało, prowadził jej brat Arkadiusz. Samemu cudotwórcy wmawiała, że tak będzie lepiej. Jednocześnie skonsolidowała dawne konto znachora w jedno konto pod wymowną nazwą: „Dla wspierania pracy cudotwórcy Zenobiusza B.” Na konto to wpływały pieniądze nie tylko z lichwiarskiego rodzinnego interesu, ale wszelkie darowizny pieniężne, jakie przekazy-

wano z USA, Wielkiej Brytanii, Francji, Włoch, Luksemburga, Niemiec i oczywiście z Polski.

Wtedy, kiedy sprawy zaczęły przybierać niepokojące symptomy, których sam zainteresowany oczywiście nie dostrzegał, filigranowa blondynka o niebieskich oczach i posturze anioła, ulotniła się z zawartością bankowego konta. Według wyciągu bankowego figurowała na nim kwota bliska miliona ośmiuset tysięcy złotych!

Znachor zasłynął na przykład z uleczenia anorektyczki, której prawa do życia odmówiły największe autorytety medyczne. Ten przypadek dla Zenobiusza B. był wyjątkowy, bo okazał się jego totalną klęską. Niepełna piętnastoletnia dziewczyna przebywała z nim przez trzy miesiące. Zenobiusz B. pielęgnował ją i żywił specjalnie przygotowaną dietą. I właśnie to pielęgnowanie ktoś życzliwy zaskarżył, jako molestowanie seksualne. Nie pomogły zeznania dziewczyny i rodziców oraz badania przeprowadzone przez specjalistyczną klinikę. Choć dziewczyna po długiej rekonwalescencji powróciła do zdrowia, potem założyła rodzinę, urodziła chłopca i dziewczynkę.

Proces, jaki się wkrótce odbył, wyraźnie był nakierowany na odebranie znachorowi wszelkich praw do wykonywania uzdrawiania. Po drugim został skazany na sześć lat pozbawienia wolności na oddziale psychiatrycznym więzienia o zaostrzonym rygorze. Odbywał tę karę. W jego pojedynczej celi na ścianach wisiały religijne obrazy, które sam namalował. Odnalazł w sobie nowe powołanie i talent. Po dawnemu też w tajemnicy przed władzami więzienia i okiem kamer uzdrawiał, dotykając dłoni chorych współwięźniów, a także strażników.

Po raz trzeci Matka Boska ukazała się mu w trzy lata po procesie. Namalował wówczas obraz pod znamienym tytułem: „Trzecie widzenie”. Po tygodniu znaleziono go w celi, powieszzonego na sznurze zrobionym ze strzępów rękawów koszuli i pasków malarskiego płótna. Służby więzienne zbagatelizowały wadliwie działające kamery w jego celi, ale i sam Zenobiusz B. uspił ich czujność nowym wyzwaniem Matki Boskiej, jakim było jego religijne malarstwo.

**Czesław Kowalczyk
Słupsk**



Fot. J. Maziejuk

Jak kupować z głową?

W przedświątecznym okresie placówki detaliczne kuszą nas promocjami i obniżkami cen na rozmaite towary. Przy kasie jednak warto sprawdzić, czy cena rzeczywiście jest identyczna z tą z półki.



Jak uniknąć kłopotliwych sytuacji podczas świątecznych zakupów i co zrobić, gdy zamówiony w Internecie prezent nie dotrze na czas? Statystyki pokazują, że już niemal połowa przedświątecznych zakupów dokonywana jest przez Internet. Ta forma ma sporo plusów - prezenty możemy kupić o dowolnej porze i z dowolnego miejsca, bez konieczności wychodzenia z domu. Należy mieć jednak świadomość, że początek grudnia to ostatni moment na dokonanie bezpiecznych e-zakupów. Na dwa tygodnie przed Gwiazdką zamówienia do sklepów internetowych spływają nierzadko przez 20 godzin na dobę. W takim „tłoku” łatwo o pomyłkę i opóźnienia. Dlatego początek grudnia to najlepszy okres na rozsądne i racjonalne zakupy, nie tylko w tradycyjnych punktach, ale także w Internecie. O tej porze mamy jeszcze czas na przemyślenie transakcji, dajemy też sprzedawcy szansę na terminową dostawę prezentów, a jeśli okaże się, że nie spełniają naszych oczekiwań - na ich zwrot. Miejmy świadomość, że kupując świąteczny prezent na kilka

dni przed Wigilią możemy otrzymać go dopiero po świętach.

E-zakupy, poza tym, że szybkie i wygodne, obarczone są ryzykiem - atrakcyjny na ekranie komputera produkt może w rzeczywistości wyglądać zupełnie inaczej. Dlatego prawo przewiduje możliwość zwrotu kupionego przez Internet towaru. Gdy otrzymamy produkt i z jakichś przyczyn nie spełni naszych oczekiwań lub zwyczajnie nam się nie spodoba, możemy odesłać go sprzedawcy. Zwrot musi nastąpić w terminie 14 dni kalendarzowych od momentu odbioru towaru, na przykład od kuriera. Koszty zwrotu towaru, czyli przesłania go z powrotem do sprzedawcy, musimy jednak pokryć sami. Do odzyskania pieniędzy za zakupiony produkt niezbędne jest również przesłanie sprzedawcy oświadczenia, że zwracamy mu towar.

Zwrotowi nie podlegają jednak wszystkie oferowane w sieci produkty. Nie zwrócimy kupionych w Internecie płyt, gier komputerowych, biletów na koncert czy wykonanej na specjalne życzenie biżuterii. Często

się zdarza, że pod choinkę chcemy obdarować kogoś na przykład bransoletką z wygrawerowaną sentencją lub ręcznikiem z wyhaftowanym napisem. Taki, wykonany tylko dla nas na jednostkowe zamówienie produkt, nie podlega zwrotowi.

Uwaga: prawo do 14-dniowego zwrotu towaru nie przysługuje podczas tradycyjnych, bezpośrednich zakupów. W tej formie sprzedaży nie można zwrócić kupionego wcześniej produktu. Sprzedawca może się zgodzić na jego ewentualną wymianę na inny, ale jest

to jego dobra wola, a nie obowiązek. Pamiętajmy o tym podczas świątecznych zakupów.

Wybierając się do sklepów przed Gwiazdką warto zrobić listę niezbędnych produktów. W przedświątecznym okresie placówki detaliczne kuszą nas bowiem promocjami i obniżkami cen na rozmaite towary. Gdy zdecydujemy się na zakup jakiegoś promocyjnego produktu, sprawdźmy przy kasie, czy cena rzeczywiście jest identyczna z tą z półki.

Co w przypadku, gdy zakupiony w Internecie towar nie dotarł przed Wigilią, a po świętach, choć kupiliśmy go odpowiednio wcześniej? Gdy zdarzy się taki przypadek, powinniśmy zwrócić się do sprzedawcy i poprosić o wskazanie terminu wysyłki produktu. Jeśli okaże się, że wysłał go odpowiednio wcześniej, powinniśmy reklamować to w firmie kurierskiej. Możemy wtedy domagać się zadośćuczynienia, jednak radzę unikać takich sytuacji i odpowiednio wcześniej zamawiać towary w Internecie.

Marek Kurowski
Powiatowy Rzecznik Konsumentów



VI POWIATOWY POKAZ STOŁU BOŻONARODZENIOWEGO

REDZIKOWO, GRUDZIEŃ 2017



